Z dziejów czorsztyńskiego starostwa.

Starostwo czorsztyńskie należało do niegrodowych dzierżaw w obrębie Rzptej i jako takie nie odgrywało wybitnej roli pod względem prawno-publicznym, ponieważ punkt ciężkości tej dzierżawy leżał w jej uposażeniu gospodarczem, ale jako położona na południowych krańcach województwa krakowskiego, jako obejmująca w sobie graniczący gród Czorsztyn, pamiętający odległe czasy, zasługuje na uwzględnienie. Zasługuje na uwzględnienie tem więcej, że obok częstych pobytów królów polskich i obcych, jakich widownią w średniowieczu było czorsztyńskie i pod względem gospodarczym było ciekawym terenem przemian różnych, niż w reszcie Polski. Chociaż bowiem i tu postęp gospodarczy uwidoczniał się, to jednak uwidoczniał się powolniej, a specyalne warunki terenowe wytwarzały i odrębne a ciekawe formy gospodarcze. Punkt też ciężkości naszej rozprawki będzie leżał w dociekaniach gospodarczych, mając na uwadze głównie wiek XVI., przyczem oczywiście i dzieje dzierżawy, jako nierozłącznie z nią związane, będą tu, o ile na to zezwoli skąpy materyał archiwalny, uwzględnione.

Królewszczyzna nasza brała swą nazwę od zamczyska, leżącego nad rzeką Dunajcem, broniącego tak przeprawy, jak i drogi, prowadzącej z okolic Nowego Targu w stronę Sącza.[1]) Miejsce, na którem zamek powstał, nadawało się wybitnie swem położeniem na założenie warownego punktu, ponieważ panowało nad otoczeniem, ponadto zaś tylko z jednej strony dostęp na wzniesienie był

[1]) Morawski: Sądeczczyzna, t. II., str. 77.

możliwy. W odległych też czasach musiało tu powstać grodzisko, najpewniej jako stannica książęca najdalej na południe wysunięta, celem zamknięcia i obrony drogi handlowej. Nie był Czorsztyn zamkiem jedynym w tych stronach. Takie same stanowisko miał mniejszy od Czorsztyna zamek na skałce szaflarskiej, dalej zaś poza Czorsztynem nad korytem Dunajca, w drodze do Sącza, istniał zamek Wietrznica.[1] Ponadto na samym obszarze starostwa można ze śladów rękopiśmiennych domyśleć się gródku Wronina, który może znajdował się w okolicach Mizernej.[2]

Oczywiście Czorsztyn ulegał przeróbkom, w miarę, jak ząb czasu uszkadzał zamczysko, w miarę, jak z postępem czasu chciano gród przystosować do warunków. Wiemy też, że Kazimierz Wielki, ten wielki budowniczy Polski, zajął się i tym pogranicznym grodem i jak stwierdza zasłużony badacz Sądeczczyzny „on to rozprzestrzenił zamek, wypiętrzył pomieszkania i przystawił potężną pięciopiątrową stróżę czworoboczną bez wszelkiego wchodu z oknami dopiero w 3-ciem piętrze".[3] Później zaś, gdy Czorsztyn stał się centrem gospodarczem całego klucza, musiano i zamek odpowiednio przystosować do nowych celów — już wtedy nie o obronność zamku chodziło, ale o zabudowania gospodarcze. Nie dochowały się do naszych czasów ślady rękopiśmienne tej akcyi, prawdopodobnem jest jednak, iż te dobudowy należy odnieść do początków w. XVII., a przedewszystkiem do czasów Jana Baranowskiego, starosty przasnyskiego i czorsztyńskiego, ponieważ rządy tegoż są taką epoką przełomową w dziejach dzierżawy pod względem gospodarczym.

Można z całem prawdopodobieństwem twierdzić, iż Czorsztyn wyprzedził ruch osadniczy tych okolic — o nim to bowiem już słyszymy, kiedy o jakichkolwiek osadach niema jeszcze mowy. Jak już wspomnieliśmy, sam zamek uważamy za wypływ akcyi książęcej, przyczem i tereny, obok zamku położone, znajdowały się w posiadaniu księcia, który dla ich zaludnienia nadawał rycerstwu i instytutom kościelnym obszerne terytorya. Najprawdopodobniej w ten sposób można wytłumaczyć istnienie własności rycerskiej w Dębnie

---

[1]) Morawski: Sądeczczyzna, t. II., str. 77.

[2]) Zachorowski: Węgierskie i polskie osadnictwo Spiżu do poł. w. XIV., str. 53.

[3]) Morawski: Sądeczczyzna, t. I., str. 97. Mówi o tem i kronikarz Janko z Czarnkowa, jednak z tem zastrzeżeniem, że do tego czasu nie można odnieść powstania „civitas Czorsten", ponieważ osada tej nazwy pojawia się dopiero w drugiej połowie w. XVII. Monum. Pol., t. II., str. 625.

i Harklowie [1]) — nadaniu książęcemu zawdzięczały Klaryski sądeckie obszerne terytorya leśne, leżące w północnym kącie starostwa czorsztyńskiego, na których powstały osady — Tylmanowa w r. 1336 [2]) i Ochotnica w r. 1416 [3]). Do najstarszych osad na terytoryum czorsztyńskiem będą należały: Grywałd, Tylmanowa, Ochotnica i Sromowce [4]), w ślad zaś za nimi pójdą i inne, przyczem ruch osadniczy możemy śledzić głęboko w wiek XVII. I nie mogło być inaczej, jeżeli weźmiemy pod uwagę górzystość terenu, jego lesistość, nieurodzajność względną gleby, a przytem brak sprężystych czynników osadniczych, za których przecież nie możemy uważać starostów, zmieniających się często, którym chodziło o wyciągnięcie możliwie największych dochodów z dzierżawy, stroniących przed wkładem kapitału, z którego dopiero następne pokolenia miały mieć pożytek.

W średniowieczu niewiele znajdujemy wiadomości o dziejach gospodarczych naszej dzierżawy. Jeżeli o niej słyszymy, to przy sposobności zamieszek na granicy polsko-węgierskiej, kiedy to tak Polacy, jak i Węgrzy starają się o posiadanie tego punktu warownego, ponieważ zapewniał tak jednym, jak i drugim władanie na znacznej części terytoryum, nie mówiąc już o tem, że stanowił doskonały punkt oparcia dla wypadów w dalsze ziemie. [5]) Ponadto na terytoryum naszego starostwa słyszymy o spotkaniach królów, węgierskich i polskich, które zazwyczaj miały miejsce między Sromowcami a Starą Wsią [6]), tu też przebywał król Władysław Warneńczyk, udając się w r. 1440 do Węgier. [7])

Nie zajmując się wypadkami politycznymi, zanotujemy tylko ciekawy fakt ze stosunków granicznych i gospodarczych dzierżawy czorsztyńskiej z klasztorem Kartuzów, leżącym już na ziemi węgierskiej, w Lechnicy. Starostwo bowiem czorsztyńskie południowemi

---

[1]) Kod. dypl. Małop., t. I., str. 234—236.

[2]) Tamże, t. III., str. 20—22.

[3]) Długopolski Edmund: Przyczynki do osadnictwa wołoskiego w Karpatach, str. 5.

[4]) Osadnictwem tych okolic bliżej się nie zajmujemy, odkładając to do innego szkicu.

[5]) Długosz: Dzieła wszystkie, t. V., str. 486. R. 1434. Ks. Fryderyk ruski zmierzał do opanowania góry w pobliżu Czorsztyna.

[6]) Tamże, t. VI., str. 597. Także t. V., str. 288. W r. 1423 Władysław Jagiełło przybywa do Czorsztyna, zaś cesarz Zygmunt do Starej Wsi.

[7]) Tamże, t. V., str. 581.

swemi ziemiami opierało się o graniczną rzekę — między Węgrami a Polską — Dunajec, nad którą znowu z prawego brzegu klasztor lechnicki miał swe posiadłości. Jak to zwykle w takich wypadkach, rychło wybuchły spory graniczne między starostami a klasztorem. już nietylko o prawo rybołowstwa na Dunajcu i inne pożytki rzeczne, ale także o same terytorya nad tą rzeką, ponieważ obie strony rościły sobie prawo do obydwu brzegów. Tak jedna, jak i druga strona starała się u swych władców o uzyskanie odpowiednich przywilejów dla uprawnienia swych pretensyj. przyczem energiczniejszym na tem polu okazał się klasztor Kartuzów. On to bowiem w r. 1381 uzyskuje od króla Ludwika na części Dunajca, należącej do Węgier, prawo rybołowstwa — prawo rybołowstwa jednak niezupełne, ograniczone. ponieważ ma mieć wolny połów ryb tylko na swój własny użytek — tak, że nawet poddani klasztorni z tego prawa korzystać nie mogą. Klasztor otrzymuje ten przywilej dla tego, gdyż — jak się wyraża dokument — zakonnicy z powodu ścisłej reguły mięsa nie jedzą. a tylko ryby pojawiają się na ich stole.[1]) Prawdopodobnie przywilej ten był zrealizowany, ponieważ Ludwik był równocześnie królem polskim i mógł ówczesnemu posiadaczowi Czorsztyna. ks. Bolesławowi opolskiemu, nakazać poszanowanie przywileju klasztornego. Ochraniała też klasztor i Jadwiga, która ponadto w r. 1393 obdarowała klasztor pokaźną ilością soli z salin polskich. Ochrona ta jednak nie musiała wystarczać, skoro i nadal posiadacze Czorsztyna przeszkadzają zakusom gospodarczym klasztoru, zmierzającym do objęcia Dunajca w gospodarcze posiadanie. Klasztor bowiem wybudował na rzece Dunajcu młyn, zapewne w tej myśli, ażeby nietylko poddani klasztorni znosili tam zboże do mielenia. ale i poddani polscy z Czorsztyńskiego. Nie mógł na to pozwolić posiadacz Czorsztyna, który też wymaga opłat, jako rekompensaty za wystawienie młyna. a gdy naturalnie klasztor nie chciał na to zezwolić, wprost budował jazy na rzece, ażeby tym sposobem podkopać rozwój młyna. Klasztor nie omieszkał skarżyć się o to przed Jadwigą. która też poleca w tymże r. 1393 „omnibus tenutariis. Burgrabiis et officialibus Castri Chorstin“ zaprzestanie tego rodzaju postępowania.[2]) Nie na wiele jednak to pomogło, skoro jeszcze aż do r.

---

[1]) Wagner: Analecta Scepusii. Pars. III., str. 181. Ks. Bolesław nazwany tu jest kasztelanem, widocznie więc nacisk ówcześnie kładziono na charakter grodu granicznego.

[2]) Tamże, str. 183.

1404 trwają nieporozumienia i spory. W tym to roku dopiero komisarz wysłany z ramienia Władysława Jagiełły w osobie Jana z Tęczyna, kasztelana i starosty krakowskiego, rozsądził ostatecznie długoletnie spory, biorąc za podstawę swego orzeczenia — zwyczaj starodawny polski. Granicę między dzierżawą czorsztyńską a posiadłościami klasztornemi miał stanowić Dunajec, jednak w ten sposób, że połowa jego koryta miała należeć do klasztoru, a połowa do Czorsztyna.

Ponadto, aby uniknąć na przyszłość dalszych sporów, postanowił komisarz królewski, iż w razie zmiany koryta przez rzekę Dunajec, zawsze to nowe koryto miało stanowić granicę, tak, że raz Czorsztyn, to znowu klasztor uzyskiwał powiększenie swoich posiadłości skutkiem zmiany koryta. Postanowienie to było odstępstwem od zasad prawa polskiego, już bowiem statut wiślicki orzeka, że w razie zmiany koryta rzecznego dzielącego dwie posiadłości, jednak stare koryto ma nadal stanowić granicę.[1]) Odstępstwo to od zasad prawa polskiego było może podyktowane stosunkami nadgranicznymi między dwoma narodami, gdzie w razie zmiany biegu rzeki trudno było o stworzenie komisyi międzynarodowej dla rozstrzygnięcia sporów posiadania, które z wszelką pewnością byłyby się wyłoniły.

Z tego długoletniego sporu widzieliśmy, że organa czorsztyńskie przeważnie były nieprzyjaźnie usposobione względem klasztoru lechnickiego. W późniejszych jednak czasach nie zawsze tak było. W drugiej połowie bowiem XV. w. znalazł się starosta czorsztyński, który nietylko nie procesował się z klasztorem, lecz nawet utrzymywał z nim przyjazne sąsiedzkie stosunki. Był nim Jakób Tela z Paniowa, który d. 23 czerwca 1481 r., składając w ręce mieszczan nowosądeckich sumę 500 zł., poleca w razie swej śmierci oddać klasztorowi lechnickiemu 100 zł. Inna rzecz, że starosta ten nie zapomniał i o innych kościołach i klasztorach, przekazując między innemi i Klaryskom starosądeckim obok ornatu także sumę 100 zł. na reparacyę ich kościoła.[2])

Zajęliśmy się dłużej stosunkiem do klasztoru lechnickiego, ponieważ znalazł się stosunkowo pełniejszy materyał — do samych jednak wewnętrznych dziejów naszej dzierżawy trudno go odszukać.

---

[1]) Wagner: Analecta Scepusii. Pars. III., str. 183/4.
[2]) Akta grodzkie i ziemskie, t. IX., str. 123/4. Obdarował też ponadto i inne kościoły w Nowym Sączu, zarówno pieniądzmi, jak i ornatami.

Jedno jednak możemy stwierdzić. Oto aż do początków XV. wieku Czorsztyn, wraz z osadami do niego należącemi, jest majętnością, pozostającą w bezpośredniej zależności od króla i, jeżeli idzie o pracę osadniczą, to król przez swoich kasztelanów nią kieruje. Jednego właśnie z takich kasztelanów poznaliśmy w osobie ks. Bolesława opolskiego. Zmienia się to w wieku XV. Odtąd dzierżawa czorsztyńska wraz z zamkiem zostaje ustawicznie zastawiana za bliżej nieznaną nam sumę, odtąd tak zwani starostowie, to zwykli zastawnicy, rozporządzający dzierżawą zupełnie podobnie, jak dobrami dziedzicznemi, rozporządzający dlatego, ponieważ skarb królewski nie zwrócił im sumy zastawnej. Jeżeli później słyszymy o nadaniu komuś starostwa, to praktycznie jest to albo przeniesienie posiadania z ojca na syna, względnie zięcia, lub też pozwolenie na wykupienie starostwa z rąk dotychczasowego posiadacza.

Jako pierwszego takiego posiadacza zastawnego Czorsztyńszczyzny w wieku XV. spotykamy Abrahama Czarnego z Goszyc „zupparium utriusque salis". On to w dniu 10 marca 1425 r. daje jako posag za córkę Magdalenę 70 czerw. złotych węgierskich i 500 grzywien Hynce z Rogowa, zapisując równocześnie te sumy na swych dobrach w Goszycach i na Czorsztynie.[1]) Domyślać się możemy, że ten Hynko z Rogowa równocześnie otrzymał w używanie Czorsztyn, skoro taką była ówczesna praktyka. Wspomniana Magdalena, córka Abrahama, wyszła później powtórnie za mąż za Jana z Brzezia, przynosząc mu prawdopodobnie posiadanie Czorsztyna.[2]) Nie jesteśmy w stanie wymienić wszystkich posiadaczy dzierżawy naszej, zaledwie bowiem tu i ówdzie znajdziemy jakąś wzmiankę, która jednak nie wypełni wszystkich luk. W każdym razie przed r. 1445 Czorsztyn znajdował się w posiadaniu Mikołaja ze Skawiny, który w zamian za bliżej nam nieznaną sumę wypuścił go w dzierżawę Markowi Ratułdowi ze Skrzydlny.[3]) Z tego powodu znalazł się w nieprzyjemnem położeniu, ponieważ właśnie w r. 1445 zobowiązał się oddać Czorsztyn w posiadanie królowej Zofii, przyczem jako rękojmie Mikołaja ze Skawiny występują możni panowie i szlachta małopolska.[4]) Ratułd bowiem mimo że sam

[1]) Starod. prawa pol. pomniki, t. II., str. 273

[2]) Tamże, t. II., str. 299.

[3]) „ „ „ 547.

[4]) „ „ „ 547. Jako rękojemcy występują: Grzegorz z Branic, kasztelan radomski, Piotr Cikowski, podsędek ziemski krakowski, Jan Gedecki, Janusz, podkomorzy królowej, Otto z Plechowa, Jakób Botuszyński, Stanisław Gietka, Dobko Radwan z Brzeźnicy, Piotr Levitski, Koszebor z Swiradzicz i Rafael ze Stróży.

zobowiązał się ustąpić w r. 1445 z dzierżawy, nie uczynił tego, przez co, jak oświadcza Mikołaj ze Skawiny, wynikła szkoda 2000 grzywien.[1]) Zakończenia tej sprawy nie znamy. Gdyby jednak nawet królowa Zofia otrzymała posiadanie Czorsztyna, to rychło ono musiało wyjść z jej rąk, skoro w r. 1462 występuje jako starosta czorsztyński Jakób Obalec z Góry.[2]) Po nim w tej godności widzimy Andrzeja Pieniążka z Kruzlowy[3]), znanego nam już z epizodu lechnickiego Jakóba Telę Paniowskiego, a z samym końcem XV. stulecia Gilowskiego.[4])

Tym sposobem doszliśmy do wieku XVI., którym mieliśmy się obszerniej zająć. Zanim jednak do tego przejdziemy, wypadnie nam odpowiedzieć na pytanie, jakie to osady zaliczano do dzierżawy czorsztyńskiej. Otóż musimy na wstępie stwierdzić, że Tylmanowa i Ochotnica, które dawniej należały do Klarysek i jako takie zna je jeszcze Liber Beneficiorum[5]), te co najmniej w drugiej połowie XVI. w. należą do Czorsztyna. W jaki sposób przeszły te osady we władanie królewskie, bliżej nie umiemy powiedzieć, możliwym jest jednak wypadek zamiany za jakieś inne włości, które otrzymał klasztor. Zresztą nie jest to jedyny przypadek zmiany właściciela, bo i Dębno, które w w. XIV. jest posiadłością rycerską, w wieku XVI. należy do dzierżawy czorsztyńskiej. Przynależność Dębna (a razem z niem wsi Ostrowska i Gronkowa) jest najprawdopodobniej ściśle przypadkową, ponieważ mamy dowody tak z XVI., jak i z XVII. wieku, iż włość ta stanowi odrębną królewszczyznę.[6])

Ostatecznie jako rezultat pracy osadniczej do w. XVI. włącznie w królewszczyźnie czorsztyńskiej — mamy następujące osady: Krościenko, które wymieniamy na pierwszem miejscu jako osadę miejską, z kolei zaś biorąc za punkt wyjścia granicę zachodnią od starostwa nowotarskiego, Maniowy, Kluszkowce, Sromowce, Szczawnice Wyżne, Szczawnice Niżne, Kłodne i Tylmanowę, nad poszczególnymi zaś dopływami Dunajca z lewego brzegu mieściła się

---

[1]) Starod. prawa pol. pomn., t. II., str. 546/7.

[2]) Arch. kom. hist., t. VIII. Fedorowicz: Dostojnicy i urzędnicy... str. 116.

[3]) Akta grodzkie i ziemskie, t. IX., str. 101.

[4]) Arch. kom. hist., t. VIII. Fedorowicz: Dostojnicy i urzędnicy... str. 116.

[5]) Długosz: Liber Benef., t. II., str. 253.

[6]) Kaz. Baran: Lustracye nowotarskie, str. 7. W r. 1564 Dębno jest w posiadaniu Wierzbiały. W w. XVII. Dębno dzierżą między innymi Wolski i Mniszech.

Ochotnica, najdalej wysunięta na północ w stronę osad klasztornych, Krośnica, Grywałd i Mizerna. W wyroku z r. 1595 mamy wymienioną osadę Strzemeszno, której już później w źródłach nie spotykamy. Najprawdopodobniej mamy tu do czynienia z małym przysiółkiem w bliskości większej osady, włączonym później do niej. Że tak być mogło, na to mamy poparcie w innych tego rodzaju przykładach, zaczerpniętych z obrębu naszej dzierżawy. I tak wioska Kłodne zalicza się później do Tylmanowy, a część wsi Ochotnicy nosi nazwę Belińca.[1])

Na obszarze stosunkowo znacznym mamy więc zaledwie 11 osad i to zapewne nie bardzo ludnych, skoro w r. 1655 w najwybitniejszej miejscowości starostwa, w Krościenku, mamy zaledwie 34 domków[2]) ubogich, w r. 1660 w Ochotnicy znajduje się 25 kmieci, a w Maniorach tylko 8 kmieci[3]). Brak materyału stoi na przeszkodzie bliższemu rozpatrzeniu tej kwestyi, już jednak okoliczność, że po żywej pracy osadniczej Baranowskiego i Platemberga w wieku XVII. tak mało spotykamy zaludnienia po wsiach, pozwala nam wnioskować, o ile ono mniejszem było w w. XVI. Wprawdzie miejsca było poddostatkiem niewykarczowanego, i już same dokumenty lokacyjne zakreślały szerokie rozmiary wsiom (Tylmanowa była zasiedlona na 40 łanach[4]), rzeczywistość jednak nie odpowiadała planom osadniczym. Już przykład Nowego Targu, któremu przy lokacyi nadano 150 łanów, z czego jednak ani małej części nie zasiedlono, poucza[5]), że wsi, zakładane w tych stronach, nie zajęły terenu, nadanego dokumentem lokacyjnym. Zapewne musiał tu również oddziaływać charakter gospodarstwa nie ściśle zbożowy, ale zbożowo-pasterski, który wymagał więcej obszaru, a mniejszej liczby ludności.

Ażeby chociaż w krótkości scharakteryzować gospodarstwo, prowadzone w dzierżawie czorsztyńskiej, to do średniowiecza poza dokumentami lokacyjnymi i Liber Beneficiorum nie mamy innego materyału. Materyał ten zaś za szczupły, ażeby się można kusić o przedstawienie gospodarki tutejszej. Dopiero z w. XVI. mnożą się wskazówki, zwłaszcza, że w tym okresie czasu starostowie, idąc za ogólnym prądem, panującym w Polsce, starają się o po-

---

[1]) Słownik geogr., t. 12, str. 760—761.

[2]) Castr. Sand., t. 127, p. 542—553.

[3]) Słownik geogr., t. 12, str. 760—761.

[4]) Kod. dypl. Młp., t. III., str. 20—22.

[5]) Kaz. Baran: Lustracye nowotarskie (III.), str. 10.

większenie swych dochodów kosztem poddanych, przyczem oczywiście napotykają na energiczny ich opór. Pierwszym takim starostą jest Piotr Kmita, wojewoda i starosta krakowski, mający obok naszej królewszczyzny jeszcze parę innych w swem posiadaniu.

Jak wygląda gospodarstwo starościńskie w dzierżawie czorsztyńskiej za czasów Kmity? Jest to gospodarstwo przeważnie czynszowe, w którem poddani obarczeni są wprawdzie niewielką robocizną, bo ograniczającą się do kilku lub kilkunastu dni w roku, jednak ma się wrażenie, jakoby i ta niewielka robocizna była wykupywaną nie pieniądzmi, ale produktami gospodarstwa, przedewszystkiem zaś zbożem. Ponadto poddani składają czynsze i daniny bliżej nieoznaczone, zapewne jednak między daninami poczestne miejsce zajmowała dań barania, tak charakterystyczna dla prawa wałaskiego, które w naszej dzierżawie na pewne cechowało ustrój wsi Ochotnicy, a co do innych wsi można w każdym razie stwierdzić gospodarcze konsekwencye tego prawa. W całym bowiem szeregu wypadków z w. XVII. mamy zanotowaną dań baranią, a obok tego tu i ówdzie przytoczone postanowienia zwyczajowego prawa wałaskiego, zwracającego uwagę na hodowlę bydła i owiec.[1])

O istnieniu folwarku w pierwszej połowie XVI. w. nic nam nie mówią źródła, jeżeli zaś jakiś był, to zapewne pod samym Czorsztynem, przeznaczony na potrzeby zamku i jego mieszkańców i oczywiście nie musiał być wielkich rozmiarów. Natomiast słyszymy w tym czasie o dwóch przedsiębiorstwach gospodarki starościńskiej — młynie i tartaku[2]). Przedsiębiorstwa te, a przedewszystkiem młyn, nie były zapewne jedynemi na terytoryum starostwa, rozwój jednak ich i dochód był na przyszłość zapewniony, skoro musiały mieć przydzielony pewien okręg dla swej wyłącznej eksploatacyi, skoro uzyskały wyłączny monopol na pewnem ściśle oznaczonem terytoryum[3]). Odnośnie do młyna należy stwierdzić, że okręg do niego przydzielony nie obejmował całego starostwa, skoro sołtysi mieli w przywilejach nadane prawo wystawienia młyna, w czem już mieścił się obowiązek poddanych do mielenia w nim, ale obejmował szereg wsi, w których nie było młynów. Poddani z tych to wsi byli obowiązani przywozić zboże

---

[1]) Bliżej zajmujemy się temi kwestyami w szkicach: „Starosta Baranowski a wybrańcy i sołtysi czorsztyńscy“ i „Starosta Baranowski a Krościenko“.

[2]) Castr. Sand., t. 106 p. 770—772. Także Kutrzeba: Materyały do dziejów robocizny w Polsce, str. 54—55.

[3]) Dąbkowski: Prawo prywatne polskie, t. II. str. 236.

do młyna, choćby nawet najdalej mieszkali, a mielenie w innym młynie było surowo zakazane i umocnione surowemi karami. Podobnie rzecz się miała z tartakiem, do którego zmuszano poddanych przywozić drzewo budulcowe, przyczem oczywiście wzamian za odpowiednie obrobienie drzewa, wymagano opłat.

Jednem słowem dochód starosty stanowiła czynsze i daniny od poddanych, dochód z wykupionej robocizny, z młyna i tartaku, przyczem oczywiście starosta zachowywał sobie jakąś ilość dni roboczych, zapewne ze wsi najbliższej Czorsztynowi, ażeby obrobić te pewną ilość roli folwarcznych i wykonać inne mniejsze roboty. Przytem starosta miał jeszcze te udogodnienia, że poddani byli obowiązani do podróży w jego interesach i że odbywali kolejno straż na zamku czorsztyńskiem. Ponadto pewien ślad wskazuje, jeżeli już nie na przymus sprzedaży zboża, to przynajmniej na naturalny monopol starosty wykupywania zboża od poddanych swej dzierżawy, przyczem oczywiście pod tem ostatniem określeniem rozumiemy wypadek, w którym w razie wystawienia zboża przez poddanego na sprzedaż, starosta miał prawo pierwokupu. Przychylamy się raczej do monopolu wypływającego z naturalnych warunków, ponieważ zapewne żaden kupiec nie pojawiał się tutaj dla zakupu zboża, obawiając się przykrości ze strony starosty. W każdym razie zapobiegliwy dzierżawca mógł z tego przedsiębiorstwa pokaźne ciągnąć dochody, do których w końcu dołączyć wypada i dochody z win sądowych.

Nie podaliśmy wprawdzie wysokości czynszów i danin poddańczych, ceny wykupnej robocizny, jednak mimo to odnosi się wrażenie, że położenie poddanych nie było złem, zwłaszcza, że role w tym czasie jeszcze nie uległy skutkiem działów rodzinnych podziałowi, że wszędzie w źródłach spotykamy tylko kmieci a bardzo rzadko zagrodników. Zapobiegliwy kmieć mógł nawet powiększyć swój obszar uprawy rolnej przez karczunek lasu, najprawdopodobniej jednak rzadko to miało miejsce, skoro chętniej wysyłał on stada bydła i owiec na pastwiska znajdujące się wśród lasów [1]). Wznosząc budowle mieszkalne i gospodarcze swobodnie wybierał sobie drzewo w lesie, ograniczał go zaś tylko przymus obrobienia tego w starościńskim tartaku.

Jeszcze lepszem oczywiście było położenie sołtysów, którzy w tym czasie mimo konstytucyj ogłaszających, że wszystkie soł-

[1]) Por. mój szkic: „Starosta Baranowski a sołtysi“, str. 85.

tystwa są na skupie [1]), utrzymali się na swem stanowisku przodowniczem we wsi. We wsiach, gdzie ich nie było, zastępowali ich wójtowie, mający oczywiście o wiele mniejsze znaczenie [2]).

Z przedstawionego stanu rzeczy widzimy, jak skromnem było gospodarstwo starościńskie XVI. wieku, ogniskujące się na zamku czorsztyńskim. Chociaż jednak tak skromne, to jednak musiało stanowić postęp w porównaniu z wiekiem XV., skoro poddani wspominają, że ten młyn i tartak starościński, to przedsiębiorstwa nowe, niedawno powstałe, jak zaś stwierdza Kmita, powstały one za rządów jego poprzednika.

Zwyczajnie każdy postęp gospodarczy pociąga za sobą większe natężenie ciężarów ludności poddanej, ponieważ właściciel czy dzierżawca, nie mając innego materyału roboczego, musiał się oprzeć na poddanych. Tak też było i w naszym wypadku za rządów Kmity, na którego poddani zanoszą skargi przed króla, że ich obciąża niezwyczajnemi robociznami i pracami, że nakazuje wozić drzewo budulcowe do tartaku, a zboże do młyna, że w końcu zboże zakupione każe wywozić do innych miejscowości. Gdzie to zboże wywożono, nie podają nam akta, najprawdopodobniej jednak w stronę Sącza, a może nawet i Krakowa, co naturalnie stanowiło niemałe uciążenie dla poddanych, skoro taka podróż trwała zwyczajnie parę dni, a obok tego starano się o jak największe obciążenie wozu.

W odpowiedzi na skargi poddanych bronił się Kmita, że on nie obciąża poddanych innemi robociznami i ciężarami, jak tylko temi, które zastał przy objęciu dzierżawy, zaznaczył zaś przytem, że chętnieby odstąpił od tych robocizn, gdyby tylko poddani zechcieli zamiast nich zgodzić się na odrabianie jednego dnia tygodniowo, co już było pomieszczone w konstytucyi toruńskiej. Wyrok królewski z dnia 14 lutego 1543 r.[3]), będący odpowiedzią na zażalenia, zadawala właściwie poddanych, ponieważ zabrania staroście obarczać poddanych przewożeniem zboża kupnego do innych miejscowości, nakazując równocześnie chłopom przewozić zboże, płynące z danin, na zamek Czorsztyn, co oczywiście było zmniejszeniem „podróży“ do minimum. Odnośnie zaś do robocizny dekret królewski, zabraniając Kmicie obarczać poddanych większemi niż powinni

---

[1]) Vol. Leg., t. I., str. 420 i t. II., str. 28.

[2]) Castr. Sand., t. 106. p. 770—772. Dokładniej omówimy stanowisko sołtysów, omawiając rządy Sienieńskiego, ponieważ za Kmity ani razu nie słychać o nich w aktach. Tam też będzie mowa i o mieszczanach krościeńskich.

[3]) Castr. Sand., t. 106, p. 770—772.

robociznami, daje im do wyboru, albo pozostać przy dawnych robociznach, lub też zamiast dawnych robocizn odrabiać 1 dzień tygodniowo z łanu.

Z przedstawionego stanu rzeczy widać, że rządy Kmity, to okres pewnego postępu gospodarczego w starostwie czorsztyńskiem — widać z nich dążność zmiany gospodarki przeważnie czynszowej, na gospodarkę ile możności folwarczną. Zapewne bowiem z całem prawdopodobieństwem możemy twierdzić, że ten jeden dzień robocizny w tygodniu, którego się domagał Kmita, miał mu posłużyć do powiększenia malutkiej dotychczas gospodarki folwarcznej. Ponadto stworzenie tartaku i młyna starościńskiego, to także powiększenie dochodów i zmiana na lepsze.

Czy się poddani zaraz zgodzili na ten jeden dzień robocizny, tego nam źródła nie podają. W każdym jednak razie w drugiej połowie wieku XVI. musieli się zgodzić, ponieważ rozwój stosunków poddańczych także i w królewszczyznach szedł po linii powiększania ciężarów pańszczyźnianych. Królewszczyzna w drugiej połowie XVI. w. z kilku lub kilkunastu dniami pańszczyzny w roku jest już niemal anomalią i jest już możliwą tylko w okolicy zacofanej gospodarczo. Przykładu takiego dostarcza nam wieś Bystra, której poddani jeszcze w r. 1558, odrabiają tylko 6 (sześć) dni do roku [1]). W starostwie czorsztyńskiem było to już niemożliwem i ztąd trzeba przyjąć, że w drugiej połowie XVI w. regułą jest odrabianie pańszczyzny jednodniowej, choć naturalnie mogły być wsi, które ze względu na specyalne warunki miały robociznę mniejszą, jak n. p. wieś Ochotnica, której kmiecie jeszcze w roku 1660 odrabiają 15 dni w roku pieszo [2]). Chociaż jednak na tym punkcie plan Kmity urzeczywistnił się, to jednak inna jego myśl zasadnicza — stworzenia większej gospodarki folwarcznej — nie miała powodzenia, może nawet dlatego, że nie miał jej kto wykonać, skoro Czorsztyn przechodzi w inne ręce. Bliżej nie wiemy, kto po Kmicie otrzymał Czorsztyn, w każdym jednak razie w roku 1553 otrzymał ówczesny kasztelan biecki, Wojciech Dembiński, pozwolenie od króla na wykupienie tej dzierżawy z rąk Małasińskiego (?) [3]). Odtąd to Czorsztyn przez dwa pokolenia znajduje się w posiadaniu tej rodziny. Wojciech bowiem Dembiński, już jako kasztelan krakowski, odstąpił tę dzierżawę synowi swemu Jakóbowi w r. 1571.

[1]) Kutrzeba: Materyały do dziejów robocizny, str. 84—85.

[2]) Słownik geogr., t. 12, str. 760—761.

[3]) Boniecki: Herbarz Polski, t. IV., str. 207.

który też ma ją w swem posiadaniu do śmierci, zaszłej w roku 1578 [1]). O ich rządach nie zapisały nam akta żadnych wiadomości. obfity za to stosunkowo materyał płynie z czasów następnych — z czasów Jana Sienieńskiego, wojewody podolskiego i starosty horodelskiego, który w r. 1578 otrzymał pozwolenie na wykupienie dzierżawy czorsztyńskiej z rąk sukcesorów Jakóba Dembińskiego [2]).

Zanim nakreślimy dzieje jego rządów, wypadnie nam dać wewnętrzny obraz starostwa, ażeby uwidocznić zmiany w niem, zaszłe od czasów Kmity. Oczywiście zmiany musiały wystąpić po kilkudziesięciu latach, chociaż nie były to zmiany zasadnicze. Jeżeli za Kmity widzieliśmy jedną warstwę ludności, występującą przeciw niemu — to teraz za Sienieńskiego ludność występuje już zróżniczkowana. W aktach bowiem mamy podane wiadomości o sołtysach, wybrańcach i mieszczanach krościeńskich i poddanych ze wsi. Oczywiście nie znaczy to, jakoby za Kmity nie było sołtysów, ani mieszczan. warstwy te bowiem są starsze, ale oznacza to. iż w pierwszej połowie XVI. w. sołtysi ani mieszczanie nie mieli powodu do skarg, skoro pozostawiono w spokoju ich uprawnienia.

Przyjrzyjmy się po kolei tym warstwom ludności. o ile nam tylko materyał zezwoli. Na pierwszy plan wybijają się sołtysi tak uposażeniem majątkowem, jak i przodowniczem stanowiskiem we wsi. skoro oni to sprawowali sądy nad poddanymi swej wsi, oni utrzymywali porządek wśród poddanych, oni wreszcie ściągali daniny i czynsze dla starosty. Uposażenie gruntowe mieli stosunkowo wielkie, ponieważ posiadali przeważnie po dwa łany; jeden tylko sołtys szczawnicki miał nadane dokumentem lokacyjnym trzy łany. Sołtystwa też, to prawie folwarki we wsi, jakimi zresztą później stały się za Baranowskiego, po skupieniu przeważnej ilości sołtysów. Uposażenie to przedstawi się nam tem pokaźniej, jeżeli do tego dodamy prawo utrzymywania młyna i karczmy, razem z prawem palenia gorzałki i warzenia piwa, prawo brania drzewa z lasu królewskiego, prawo polowania i rybołowstwa, prawo paszy leśnej i polnej i prawo do szóstego grosza z czynszów poddańczych, a trzeciego z win sadowych. Prócz tego mogli utrzymywać sołtysi tartaki, folusze, sklepy i t. p., co oczywiście nie zawsze było zrealizowane. [3]) Naturalną jest rzeczą, że nie wszystkie sołtystwa były

[1]) Boniecki: Herbarz Polski, t. IV., str. 208. Już jednak w r. 1561 Jakób Dembiński tytułował się starostą czorsztyńskim.

[2]) Tamże, str. 209.

[3]) Rafacz: Starosta Baranowski a sołtysi, str. 76.

jednakowo dotowane. były między niemi bogatsze i uboższe, tak jedne jednak, jak i drugie wzbudzały zazdrość u szlachty. Ztąd to płynęło owo prawo, iż wszystkie sołtystwa są na skupie, w naszej królewszczyźnie nie przeprowadzone, skoro ani jedno sołystwo na naszym obszarze nie znajduje się w rękach szlachty, lecz wszystkie znajdują się w rękach chłopskich. Z ograniczeń, które wydawano przeciw sołtysom, zapewne wykonywane postanowienie z r. 1510 [1], iż sołtysi bez zezwolenia starosty nie mogą zastawiać, ani też sprzedać swego sołectwa, które faktycznie, chociaż nie prawnie, były dziedziczne, przechodząc z ojca na syna. W razie przejścia sołtystwa na inną osobę, należało okupić dawnego, względnie jego sukcesorów, co zaznaczają dokumenta nadawcze i potwierdzające „post mortem vero Joannis Ochotnicki successores ipsius non prius de scultetia seu advocatia praedicta cedere tenebuntur, quam summam legitime inscriptam vel ex taxa Commissariorum proveniens illis integre enumerata et persolata fuerit“ [2].

Ilu było sołtysów na obszarze starostwa? Z zażaleniami przeciwko Sienieńskiemu występują trzej — Kasper Grywałdzki z Grywałdu, Piotr Kluszkowski z Kluszkowic i Jakób Sromowski ze Sromowic, zkądinąd zaś wiemy [3] o istnieniu Mateusza Ochotnickiego, ze wsi Ochotnicy, który ponadto posiadał sołtystwo w Dębnie. Jeżeli do tego doliczymy sołtysów ze wsi Tylmanowy, Krośnicy i Szczawnic, to otrzymamy liczbę siedmiu sołtysów na obszarze naszej dzierżawy.

Drugą z kolei warstwą ludności — to wybrańcy, stworzeni w królewszczyznach na tle konstytucyi z r. 1578 w ten sposób, że z każdych dwudziestu łanów miał wychodzić na wyprawę jeden chłop-wybraniec, którego za to zwalniano od wszelkich robocizn i ciężarów, przyczem musiał on posiadać pełny łan uposażenia gruntowego. W praktyce jednak nie posiadali całego łanu, przynajmniej w naszem starostwie, skoro w r. 1595 skarżą się, „że łanu albo włóki, z której służbę odprawują, nie mają zupełna, ale stuki jeno albo część tylko jakąś rolej“, wobec czego król polecił

[1]) Vol. Legum, t. I., str. 169.

[2]) Castr. Sand., t. 113, p. 1785—1786. Dodać należy, że obowiązywała przeważnie sołtysów wyprawa wojenna, jednak rzadko spełniali oni ten obowiązek, o czem często wspominają rewizye. Nierzadko osadzali oni na gruntach zagrodników, którzy im odrabiali robociznę. Castr. Sand., t. 114, p. 1621—1623 i t. 115, p. 171—173.

[3]) Castr. Sand., t. 106, p. 803—804.

Sienieńskiemu wydzielenie im pełnego uposażenia[1]). Na wyprawę wojenną szli oni uzbrojeni w rusznicę, szablę i siekierę[2]), żołd jednak otrzymywali na równi z inną piechotą[3]). Nie wielu ich było w Czorsztyńskiem, bo zaledwie czterech, w osobach Jana Zabrzeskiego z Tylmanowy, Tomasza Latały z Grywałdu, Piotra Szczerby z Meniów i Jakóba Komorka ze Szczawnic[4]). Wybranictwa te w drodze praktyki stały się dziedzicznemi, skoro w XVII. wieku spotykamy te same nazwiska wśród wybrańców, a nawet w r. 1711 widzimy wybrańca Jana Zabrzeskiego[5]).

Mieszczanie krościeńscy ani za czasów Kmity, ani też za Sienieńskiego nie występują ze skargami — widocznie obaj ci starostowie pozostawiali ich w spokoju. Dokument lokacyjny miasta nie dochował się, bo jak się dowiadujemy z potwierdzenia królewskiego przywilejów miasta w r. 1485, pierwotny przywilej spalił się[6]). Miasteczko cieszyło się samorządem, w którem jednak Zygmunt August w r. 1569 zrobił poważny wyłom, postanawiając, iż od wyroków ławy wójtowskiej apelacya ma iść do starosty, jako do drugiej instancyi. To postanowienie dawało staroście możność wglądania w wewnętrzne stosunki miejskie i w praktyce czyniło samorząd fikcyjnym. Widocznie jednak za Sienieńskiego nie dawało się to odczuwać, skoro żadne skargi nie wpłynęły w tej mierze przed trybunał królewski. Brak skarg tem więcej zadziwia, iż Krościenko swym charakterem naprawdę nie wiele różniło się od wsi. Byli tu wprawdzie rzemieślnicy, ale ci obok wykonywania swego fachu, uprawiają także rolę i trzymają stada bydła, mając podobnie, jak inni poddani starostwa, wolność paszy, płacąc za to odpowiedni czynsz. Główna różnica między Krościenkiem a wsiami leżała zapewne w zwolnieniu mieszczan od robocizny, za co jednak musieli mieć odpowiednio zwiększony czynsz, ponadto zaś w jarmarkach i targach, z których pierwsze miały się odbywać dwa razy do roku na Zielone Święta i W. W. Świętych, drugie zaś miały miejsce co tydzień we środę[7]).

---

[1]) Castr. Sand., t. 107, p. 99 - 100.

[2]) Vol. Legum, t. II., str. 309.

[3]) Korzon: Dzieje wojen. t. II., str. 64—65.

[4]) Castr. Sand., t. 107, p. 99—100.

[5]) Arch. kraj., Varia 66, p. 159.

[6]) Castr. Sand., t. 106, p. 1798—1805.

[7]) Rafacz: Starosta Baranowski a Krościenko (w „Gaz. podhal." za r. 1913. Nr. 25.

Położenie poddanych - kmieci zmieniło się od czasów Kmity. Większa bowiem była robocizna, której z czasem zaczęto domagać się w wymiarze dwudniowym z łanu, zwiększył się obowiązek podróży, zaczęto powoli narzucać im daniny z gęsi i kur, przedtem nieznane. Ponadto widzimy u nich obowiązek sprawowania kolejnej straży na zamku czorsztyńskim, nakładanej jednak nie w celu bezpieczeństwa zamku, lecz dla powiększenia dochodów. Jednak i teraz nie można nazwać położenia poddanych złem, bo ta robocizna nie była z całą ścisłością wymagana, bo poddani mieli prawo paszy, prawo poboru drzewa z lasów, łowienia ryb w rzece, obok prawa warzenia piwa na własną potrzebę (jednak tylko w wypadkach nadzwyczajnych).

Omówiwszy poszczególne warstwy ludności, przejrzyjmy się teraz gospodarce starościńskiej za rządów Sienieńskiego, który najprawdopodobniej tą oddaloną włością nie wiele się zajmował, oddając ją w poddzierżawę. Jako takich poddzierżawców spotykamy w osobach Łękawskiego [1]) i Pukarzewskiego [2]), którzy naturalnie przedewszystkiem pamiętali o swoich kieszeniach, chcąc się w jak najkrótszym czasie obłowić. Że na tem cierpiały stosunki w naszej królewszczyźnie, o tem nie trzeba mówić. Sienieński zresztą ma w swem posiadaniu nietylko Czorsztyn, obok niego bowiem ma i Dębno, wraz z wsiami Ostrowskiem i Gronkowem, przyczem o tę ostatnią właśnie za Sienieńskiego rozgorzał spór z starostwem nowotarskiem, względnie z miastem Nowym Targiem [3]). Dzierżawa dębnieńska była obliczona w r. 1580 na 73 zł. 3 gr. dochodu, z czego po odtrąceniu kwarty w sumie 14 zł. 19 gr., pozostawało dla posiadacza 58 zł. 14 gr. [4]).

Wracając do gospodarki starościńskiej w Czorsztyńskiem, określimy ją i teraz jako przeważnie czynszową. Chociaż bowiem starano się o powiększenie robocizny, to jednak była ona wykupywaną przez poddanych, a o folwarkach i teraz nie słychać. Jak dawniej za Kmity, tak i teraz czerpie swój dochód dzierżawca z czynszów i danin, wykupionej robocizny (pozycya tego dochodu

---

[1]) Castr. Sand., t. 106, p. 2224.

[2]) Tamże, t. 107, p. 97—98.

[3]) Tamże, t. 107, p. 176/7 i 236. Sienieński nawet przegrał sprawę, polecono mu bowiem Nowotarżanom oddać Gronków, mimo jednak polecenia, danego staroście sądeckiemu, Sebastyanowi Lubomirskiemu, odnośnie do wykonania wyroku, Sienieński się przy Gronkowie utrzymał.

[4]) Pawiński: Księgi podskarb., str. 259.

zwiększyła się skutkiem powiększenia ilości dni roboczych), z win sądowych, a obok tego z przedsiębiorstw, prowadzonych nadal w centralnym zarządzie. Tylko, że do dochodu z młyna i tartaku dołącza się jeszcze dochód z browaru i szynkowania napojów gorących [1]). Ostatnia pozycya dochodu musiała jednak być dopiero wywalczona, ponieważ tak sołtysi, jak i wybrańcy mieli prawo warzenia piwa, pierwsi nawet z prawem wyszynku dla poddanych swych wiosek, co do mieszczan zaś, to istniała zupełna wolność pod tym względem, ograniczana tylko przepisami administracyjnymi [2]). Jedynie poddani nie mieli pełnych uprawnień w tym względzie, ponieważ pozwalano im w nadzwyczajnych tylko wypadkach warzyć piwo na własną potrzebę. Ciekawą jest przytem rzeczą, że starosta nie posiada własnej karczmy, lecz poprostu przydziela na pewne gospodarstwa poddańcze oznaczone ilości piwa [3]). Możliwem jest, iż mamy tu do czynienia z narzutem piwa. przyczem takie postępowanie mogła podyktować konkurencya z sołtysami, którzy po wsiach posiadali własne karczmy. O kupowaniu zboża nie słyszymy już teraz, jednak wywożono je w wielkich ilościach, skoro jedną ze skarg podanych jest skarga o podróże dalekie.

Nakreśliwszy ogólny charakter gospodarstwa starościńskiego, wypadnie nam z kolei omówić działalność Sienieńskiego i jego dzierżawców, odnośnie do rozmaitych warstw ludności. W tej działalności możemy rozróżnić dwa okresy, w których datą graniczną jest rok 1591. Przed rokiem 1591 nie słyszymy o żadnych skargach, natomiast po tym roku ciągle zanoszą tak poddani, jak i sołtysi i wybrańcy skargi do stoj królewskich, który je przydziela do rozpatrzenia swoim sądom referendarskim.

Najwcześniej skarżą się sołtysi z Grywałdu, Kluszkowic i Sromowic, że starosta „dań owiecz i czynsze nowe, które oni przedtem nie dawali, na nie postanowił“, a obok tego, że im odmawia pobierania szóstego grosza z czynszów poddańczych [4]). Odpowiedzią na te skargi był mandat upominalny króla do Sienieńskiego, polecający mu postępowanie ze sołtysami według ich dawnych praw i przywilejów. Najprawdopodobniej mandat ten poskutkował, po-

---

[1]) Castr. Sand., t. 106, p. 2135—2137.

[2]) Rozpr. i sprawozd. z posiedz. wydz. hist. fil. Bobrzyński: Prawo propinacyi, str. 337.

[3]) Castr. Sand., t. 106, p. 2135—2137.

[4]) Tamże, t. 106, p. 803—804.

nieważ później sołtysi więcej się nie uskarżają na krzywdy starosty.

Do wybrańców zabrał się dzierżawca starostwa Pukarzewski później trochę, bo dopiero w r. 1595, odmawiając im prawa paszy i zabierając im dlatego stada owiec i kóz z pastwisk, żądając w zamian za wypuszczenie wygórowanych opłat (Zabrzeskiemu zabrano 20 owiec i kóz, Latale zaś 27 owiec i kóz). Nie dość na tem, obydwu wybrańców, Zabrzeskiego i Latałe, wrzucił Pukarzewski do więzienia zamkowego i tam przez dłuższy czas trzymał [1]. I dwaj inni wybrańcy nie uniknęli losu swych kolegów. W parę bowiem miesięcy nietylko, że Szczerbie i Komorkowi zabrano bydło, ale jeszcze ich obu wrzucono do więzienia [2]. Czy wybrańcy skarżyli się o te krzywdy przed królem — akta nam nie podają.

Największe stosunkowo ciężary spadły na poddanych, ale też i oni najwytrwalej bronili swych praw, nie lękając się więzienia i bicia, którem ich karano za udawanie się ze skargami przed majestat królewski. Akcya ich przeciwko staroście rozpoczyna się równolegle ze sprawą sołtysów w r. 1591, wtedy to bowiem skarżą się, że Sienieński nakłada na nich większe podatki i daniny, z których jedne — jak mówią — „są tylko z ich dobrej woli przodków robione“, że wymaga wielkich robocizn i dalekich podróży. Ogólne to jeszcze żale, które w jednej z późniejszych skarg zostaną ściślej i bliżej określone. Na razie król pod datą 4 lipca 1591 r. zaleca Sienieńskiemu pozostawienie poddanych przy ich dawnych powinnościach i zaprzestania wyrządzania im krzywd [3]. Naturalnie nie na wiele to pomogło, skoro jeszcze tego samego roku słyszymy o skardze poddanych, już jednak nie tyle na samego starostę, ile na dzierżawcę, że tenże „wielkie im krzywdy czyni, na wiele rzeczy ciężkich i niesłusznych onych przymusza i wyciąga“ [4]).

Razem z upomnieniem królewskiem skierowanem do Sienieńskiego w dniu 6 paźdz. 1591 r. skargi na parę lat przycichają, najprawdopodobniej dlatego, że mandaty królewskie musiały zrobić swoje. Sprawa jednak tem samem nie została załatwioną, przycichła tylko na pewien czas, aby z tem większą siłą przy nadarzonej sposobności wybuchnąć. Sposobność zaś taką dał Sienieński

---

[1]) Castr. Sand., t. 107, p. 97—98 i p. 98—99.
[2]) Tamże, t. 107, p. 236—237.
[3]) „ t. 106, p. 772—774.
[4]) „ t. 106, p. 830—831.

w r. 1594. powracając znowu do dawnej metody uciążania poddanych. Na czele włościan czorsztyńskiego starostwa występują teraz poddani z Maniów, oni to bowiem składają protesty w grodzie sądeckim, oni udają się do sądu referendarskiego, ażeby tam uzyskać sprawiedliwość. Skargi ich noszą podobny charakter, jak już wspomniane w 1591 roku. Znowu bowiem wymagano od chłopców większej robocizny, (najprawdopodobniej dwu dni z łanu, skoro wyrok późniejszy o takiej ilości mówi) wysyłano ich na dalekie podróże, „dla których, jako sprawę dają, konie i dobytki jeno odchodzą“, przymuszano ich do składania danin z gęsi i kur, których przedtem nie dawali. Co więcej nakazywano zagrodnikom odbywać straż na zamku czorsztyńskim, mimo, że utartym zwyczajem opłatę za nią składali, ażeby się od niej uwolnić. Dalsza skarga tyczy się narzutów piwa na poszczególnych poddanych, arendarz starostwa bowiem, nie mając własnej karczmy piwo najgorszego gatunku przydzielał chłopom. Oczywiście nie obeszło się bez bicia i więzienia poddanych udających się ze skargami do króla, których za powrotem wrzucano do więzienia [1]).

Współczując doli poddanych, wydaje król w dniu 11 listopada 1594 napomnienie do Sienieńskiego, zakazując mu wyrządzania krzywd, a przedewszystkiem wrzucania chłopów do więzienia za żalenie się przed sądem królewskim, „gdyż każdemu wolna do nas, jako do zwierzchniego Pana ucieczka“. Wprawdzie i to napomnienie nie odniosło swego skutku, tak, że król musi wydać jeszcze jedno w następnym, pod datą 1 kwietnia, jednak proces, prowadzony między starostą a poddanymi, zostaje nareszcie rozstrzygnięty wyrokiem sądu referendarskiego z dnia 8 listopada 1595 roku [2]).

Nie we wszystkich punktach zwyciężyła sprawa poddanych. Mimo bowiem ich prośby, ażeby określono ich robociznę, według dawnego orzeczenia z r. 1543, sąd referendarski nie przychylił się do tego życzenia, lecz mając na względzie zwyczaj, zachowywany w innych dzierżawach, powiększył im robociznę do dwu dni z łanu, a jednego dnia z półłanka, przyczem polecił na robociznę wychodzić o wschodzie słońca i pracować na polach starościńskich do zachodu słońca, z przerwą dwugodzinną w południe. Zdawałoby się, że razem z powiększeniem robocizny w naszej dzierżawie będziemy widzieli i rozwój folwarku. Tymczasem tak nie jest. Po-

[1]) Castr. Sand., t. 106, p. 2135—2137.
[2]) Baranowski: Księgi referendarskie, t. I., str. 49—50.

większenie robocizny zmierzało jedynie do powiększenia dochodów, ponieważ, tak jak przedtem, pozwolono wykupywać robociznę na podstawie wspólnego porozumienia między poddanymi a starostą. Chodziło więc tylko o powiększenie jednego źródła dochodów.

Chociaż tego bardzo ważnego żądania poddanych co do robocizny nie załatwia wyrok pomyślnie, to jednak inne są określone po ich myśli. Zabroniono więc staroście podwyższać czynsze i daniny, nakazując wybierać tylko te, które opisano w inwentarzach. straż zamkowa miała jednakowo ciężyć na kmieciach i zagrodnikach, którzy mieli ją odbywać kolejno, przyczem pozwolono — pozostawiając to obopólnej umowie między starostą a poddanymi — okupywać ten obowiązek pieniędzmi. Co do narzutów, to zakazano staroście przydzielać piwo poddanym — przyczem mogli oni wyrabiać je dla siebie podczas kiermaszu i wesela — jeżeli zaś starosta chciał mieć z tego źródła dochód, to polecono mu zbudować karczmę i osadzić w niej osobnego karczmarza.

Wyrok ten ostatecznie załatwił spór między Sienieńskim a poddanymi, o dalszych bowiem skargach nie słyszymy. Nie mogły one zresztą mieć miejsca, skoro najprawdopodobniej w r. 1596 umiera Sienieński, a następcą jego, jako starosta czorsztyński, zostaje podkomorzy krakowski, Cikowski.

Reasumując wyniki naszego badania, stwierdzimy, że wiek XVI. przyniósł dla naszej dzierżawy pewne zmiany, bo powiększył robocizny najpierw na jeden, a później na dwa dni w tygodniu, powiększył daniny i czynsze, przyniósł także pewien postęp gospodarczy w postaci przedsiębiorstw starościńskich, jednak nie wprowadził na dobre gospodarki folwarcznej. Gospodarka folwarczna — to przeważnie rezultat pracy starosty Baranowskiego.

Dr. Józef Rafacz.

Ostatnie lata T. Lenartowicza.

Kilka listów i wierszy z autografów w 25-tą rocznicę zgonu poety († 3 lutego 1893).

(Ciąg dalszy.)

VI.

Nie zawsze atoli można było być tak szczerym i otwartym. Człowiek tej miary, co Lenartowicz, musiał bowiem baczyć na to, iż każdy jego list, chociażby nawet prywatny, dostawał się prędzej lub później do publicznej wiadomości i mógł wywołać nieobliczalne następstwa. Dlatego w korespondencyi do familii zastrzegał się przeciw ogłaszaniu czegokolwiek bez swojej zgody [1]), gdzieindziej znów musiał o to prosić, szczególniej o ile czuł, iż zbyt wiele powiedział, lub powiedział coś takiego, co lepiej, by tylko przy nim, a najbliższych zostało. Jednym z tego rodzaju listów, czyniących zastrzeżenia, jest ten, który poniżej ogłaszamy, jako nieobojętny dokument dla przyszłych wydawców korespondencyi literackiej T. Lenartowicza. [2])

„Najzacniejszy Bracie Platonie! — Na wezwanie o telegram od stowarzyszenia uczestników powstania w r. 63 odpisałem listem do W-nego Zielonki, w którym to liście, nie licząc się ze słowami,

---

[1]) ob. H. Biegeleisen: Lirnik mazowiecki. Warszawa 1913.
[2]) Florencya, d. 23 stycznia 1891.

pogadałem tam na naszych pozytywistów warszawskich, bez uwagi, że co się pisze obecnie w świecie, pisze się do druku i że już prywatnych listów nie odbiera się więcej. Owóż żeby tego nie publikował w żadnej gazecie: pisałem natychmiast po wyzdrowieniu, a obecnie do Ciebie, Najzacniejszy Platonie, uciekam się z prośbą, abyś mu, to jest Wnemu Zielonce, prośbę moją przypomniał.

Niechże tego nie drukuje.

Ja, dotknięty szaloną influenzą a bólem nieznośnym głowy i wszystkich kości w całym sobie — siedzę w łóżku, doczekując się zmiłowania Bożego i końca tej nędzy.

Czas mamy haniebny; w jednym dniu mróz, ciepło, deszcz, grad, śnieg, wicher, mróz i tak co godzina inaczej.

Ściskam dłoń Twoją braterską

przyjaciel i brat

T. Lenartowicz."

Uskarżanie się na zdrowie w tych latach zaczyna być coraz częstsze u Lenartowicza. Zapada tak dalece, że nawet poniechać musi pracy zupełnie; w r. 1891—1892 ledwo dwa nowe jego wiersze spotykamy w pismach [1]). Wydobywał jednak z teki utwory dawniejsze i przynajmniej te chciał ogłosić, by coś zarobić na najniezbędniejsze wydatki.

* * *

„Pomiędzy [2]) papierzyskami moimi znalazłem wspomnienie o dwu przyjaciołach, rozstrzelanych w czasie zdobycia Paryża przez wojska wersalskie — Adolfie Rozwadowskim i Ludwiku Szwajcerze; fakt nastąpił tak, jak opisałem. Nie bardzo to udatne, ale na bezrybiu i rak ryba. Jeżeli ci się podoba, wydrukuj w feljetonie Gazety, ale błagam Cię w takim razie o najsumienniejszą korektę. Dołóż uwagi i nie wydawaj na pośmiewisko ludzkie z błędami drukarskimi. Gdyby Franklin, wielki drukarz, widział, jak w Polsce drukują, zawstydziłby się za tych robotników, a Gutenberg przekląłby swój wynalazek.

Cierpię mocno na oczy, pracować nie mogę, ani się do czegobądź poważniejszego zabrać. Jak mi to ciężko, nie masz wyobra-

---

[1]) ob. Bibliografia u Biegeleisena, l. c.

[2]) List do Platona Kosteckiego z Florencyi z d. 2 lutego 1891.

żenia. Z Polaków niema tu nikogo, z Włochami stosunki obojętne — ha, trudno... wygnanie.

Ściskam dłoń Twoją życzliwą

brat i sługa

Teofil."

W przypisku do listu: „N. B. Zrobisz dobrze, jeśli mi przed wydrukowaniem korektę przyślesz, Bracie Drogi.

Tak ślepy jestem, że nie widzę, co piszę."

Pierwsze życzenie spełnił Kostecki i wydrukował poemat w Nr. 35 „Gazety Narodowej", z dnia 9 lutego 1891 r. Lecz jak to dziecię Muzy nie miało szczęścia do wydawcy, który korektą jego nie bardzo zajął się sumiennie — tak też dziwnym trafem losu uszło ono uwagi ogółu czytelników, którzy przeoczyli je w stosie bibuły dziennikarskiej, oraz zostało pominięte przez historyków literatury i badaczów twórczości Lenartowicza. Nie zna go nawet najskrzętniejszy bibliograf dorobku autora „Błogosławionej", Henryk Biegeleisen.

A szkoda. Utwór to bowiem bardzo znamienny dla Lenartowicza. Znamienny zaś nie dla cech swoich dodatnich — bo tych nie posiada prawie, — ale ze względu na charakter jego ogólny, a także sposób ujęcia przedmiotu. Pierwszy wskazuje na to, że o ile Lenartowicz oddalał się od swojej dziedziny i swego królestwa pieśni ludowej — to stawał się nieporadnym, nie umiał gawędy prowadzić tak, by czyniła ona wrażenie opowiadania. Drugi mówi o niezwykłej u niego chaotyczności myśli, braku logicznych wiązadeł i przesłanek, któreby utwór ten czyniły tak zrozumiałym, jak wszystkie inne płody autora. — Osobiście przypuszczam, że nie jest to rzecz wykończona, ale szkic do opowiadania, jakie miało dopiero powstać. Przemawiałaby za tem przypuszczeniem forma całego wiersza. W razie zaś odrzucenia tej hipotezy — trzebaby powiedzieć, iż „Dwaj Towiańszczycy" są zupełnym zwrotem w poezyi Lenartowicza — zwrotem niekorzystnym, świadczącym o wyczerpaniu lub przemęczeniu ogólnem.

Jakkolwiek jednak jest — sam Lenartowicz chciał utwór ten uratować przed zaginięciem wśród mnóstwa rękopisów, a także wielką przykładał wagę do poprawnego ogłoszenia rzeczy. Przyjacielska przysługa Kosteckiego nie potrafiła dokonać tego. — Pozwalamy sobie zatem powtórzyć tu zapomniany poemat, drukując tekst jego według zachowanego manuskryptu poety.

DWAJ TOWIAŃSZCZYCY.

(Adolf Rozwadowski i Ludwik Szwejcer).

(Wspomnienie z czasów komuny paryskiej).

„Ils meurent tour a tour et renaissant plus beaux
„pour disparaitre encore dans leurs sanglants tombeaux
„Ils lacerent ton coeur mieur que les Eumenides,
„Ne flagellent les morts aux demeures livides!
„Oh! qui soil levra le fardean de tes jours?
„Niobe! Niobe! son tfriras-tu toujours!

Le comte de Lisle.

I.

Na jednej z ulic nędznych za Sekwaną.
Dziś już tej pewno i niema ulicy,
Dwaj się gnieździli starzy Towiańszczycy,
Których w wychodztwie znano, szanowano
I wyśmiewano, jak to u nas bywa.
Lekkość, a lekkość wiadomo. jak chciwa
Na lada dowcip, którym pamięć żywi...
Śmieją się radzi z poczciwych poczciwi
I niepoczciwi... z śmieszności i z cześci,
Z modlitwy, z pracy, z natchnień i z boleści.

Ludwik i Adolf, obaj dobrze siwi,
Ten prosto, drugi trzymał się pochyło;
Tego się czoło łysiną świeciło.
Ów jako drzewo, które czas wykrzywi.
Końcami długiej, niestrzyżonej brody,
Zamiatał, idąc do mieszkania, schody.
I ztąd portierka domu (kabalarka)
W jednym widziała wizerunek Marka,
Drugi jej Pawła przypominał wiele,
Stojących w niszach, na starym kościele.

A że jej przerwy nie czynili we śnie,
Wracając zwykle do kwatery wcześnie.
Okazywała dobre dla nich chęci
I przed ciekawym świadczyła muszarem [1]).
Że za Sekwaną w obwodzie ich starym
Są to jedyni prawdziwi dwaj święci.
Że ich widuje zawsze u roboty.
Że nie bigoty są i nie kagoty [2]).

---

[1]) moucher = szpiegować, mouchard = policyant (przyp. poety).
[2]) cagot = hipokryta (przyp. poety).

Znałem ich, żyłem przez czas długi z [1]) niemi.
Gdy była mowa o rodzinnej ziemi
I o przyszłości. Ludwik w zapał wpadał,
Adolf zaś cicho pod oknem przysiadał [2]),
Z brata na chwilę nie zdejmując oka,
Wpatrzony w lice mowcy, jak w proroka.

Na Emigracyi rzadko się przytrafi,
Byś nie był zmuszon słuchać biografiii,
Więc o fortuny w miłości przykładach,
Jak się królowe kochały w tych dziadach
Różne historye tej samej natury,
Myśliwcy polscy i... karykatury.//

//Adolf o sobie, bajkodziejom sprzecznie
Głuche milczenie zachowywał wiecznie.
Czy się do niego zgłaszała rodzina,
Nie wiem — rodzina prędko zapomina.
A zresztą wielce delikatna strona
Pytanie rzucić: czy pisała żona?!
Czy brat o bracie myśli w niedostatku.
Był Anioł: Marya Boleska w przypadku...
Pamięć dobroci serce mi porusza.
Jaka to była Polka, jaka dusza:
Poszła i ona...
                    Wiem, że był w urzędzie,
W trzydziestym pierwszym, że wojskowo służył,
Ale gdzie, jak, co? nikt wiedzieć nie będzie.
Jak drugi Kortez nawę wspomnień zburzył
I nieodmienne wziął postanowienie
Zachować o tem najgłębsze milczenie.
Więc gdym wspominał dym ojczystej strzechy,
Zauważałem tylko półuśmiechy.
Przetom sam sobie wtórzył po rozmowie
Cierpiałeś dużo [3]), gdyś tak skąpy w słowie.

Jego towarzysz za to mówił wiele,
Kiedy się zeszli bracia przyjaciele:
Nabielak, Rebel, Seweryn Goszczyński,
Belwederczyki, koledzy szlachetni,
Jakby mu z serca odpadł kamień młyński.
Marzenia swoje dziad sześćdziesiątletni
Roztaczał bujnie za Andrzejem Mistrzem
Uczuciem tchnące najżywszem, najczystrzem.

---

[1]) przekreślono [nimi].
[1]) następują dwa wykreślone wiersze:
[I słuchał, głowę oparłszy na dłoni,
Treści nie zgadnę, czy słowa harmonii.]
[2]) przekreślono [wiele].

Rósł i promieniał na ojczystej dumie,
Jak dziś maleją młodzi na rozumie.

Śród zadumanych Towiańszczyków koła
Wieszcz ukraiński pochmurnego czoła,
Jakby z dnieprowej przywabiona czajki
Dusza Nebaby albo Nalewajki
W pochwie[1]) siedziała Polską gorejąca,
W której żywotów przeszłych grzechów strąca:
Bo takie były sądy w owym gronie,
Wierzącym w przejścia ludzkich dusz po zgonie.

Z nim szła rozmowa poważnymi tory,
I często głębsza rybka myśli plusła.
Coś jakby echa proroctw Wernyhory.
Wszystko, co polskie, bajki, pieśni, gusła,
Historya, prawo, wiązało się gładko,
Żeś się za krajem zwracał, jak za matką.//
//I w sercu świeżej nabierał otuchy.
Duchami zwano ich: ej!... gdzie te duchy?...
Spokojna wiara — kiedy w innej części
Doprowadzały rozprawy do pięści.
Obraza Boska, czasem pojedynek,
Chyba, że mowca wykręcił kominek
I przed ostatnim pomknął rezultatem.
Byli i święci... wszyscy dziś za światem:
Heltman, Dmochowski, Ebers, Ulrych, Łuba[2]),
(Oficer stary, prowadzący bryki,
Serce anielskie, chociaż mowa gruba.
Bluza, saboty, — chłop, fajeczka krótka)
Na tego patrząc, starej Republiki
Zalatywała jakaś gminna nótka.
Zakon, wybrany ze wszystkich powiatów,
Bosych, Ojczyzny przyszłej R e f o r m a t ó w.

W izbie, zaprawdę, nie było przepychu,
Do zrozumienia rzecz. K' temu na strychu.
Z nieodgadnionej barwy długiej ściany
Szarej, papierem[3]) kiedyś wyklejanej,
Tu, ówdzie strzępy różnobarwne[4]) ciekły:
Więc ruchomości także rejestr mały:
Łóżczyska stare[5]) po dwu stronach stały,
Z których gołębie do gniazd słomę wlekły...

[1]) wykreślone [swej].
[2]) Jan Łubieński (przyp. autora).
[3]) [przed laty].
[4]) [papierowe].
[5]) [dwa].

Stołki dwa, stolik, papiery i mapy,
Ławka (i ostatek nieboszczki kanapy),
Otóż i wszystko, z dodatkiem obrazków
Wileńskiej Matki Boskiej z Ostrej Bramy
I chłopa, biedy polskiej z błot, czy piasków,
Z podpisem: Jezu! zmiłuj się nad nami..

Częstym tu gościem bywał głód i troska,
Przecież ich ręka salwowała boska.
(Grzymała skończył w oblężeniu z głodu [1]).
Seweryn [2]) w mrozie spalił bibliotekę,
A śmierć, co z ludźmi nie czyni zachodu,
Jakoś do braci nie przeszła przez rzekę.

I oto we dniu paryskiej komuny,
Gdy zatoczone wersalskie armaty
Na komunardy rzucały [3]) pioruny,
Dwaj bracia słuchy wysłali na czaty,
Hej, co to będzie? a co będzie? gwarzą
— A no, przycierpi za winnych niewinny
— Co będzie, dnie to następne pokażą.
Francuz nie może dosiedzieć bezczynny:
Lecz bez idei szaleństwa napłodzi.//
/ Wzięli naukę, im to nie zaszkodzi...
Bo Francuz, bracie, gdy wlezie w kałużę...
— To i cóż? Rzuci pół miliona ludzi.
A gdy się w ogniu bitew duch obudzi,
Jak skoczy, to się nie oprze aż w chmurze.
Lecz dzisiaj w wyższym nikt nie mówi tonie
I przeto rózga nie schodzi z ich grzbieta,
Pamiątka sławy po Napoleonie.
Kolumna padła na słowo Courbeta,
Lecz gdy kolumny duchów z pod Marengo
Staną, wnet niższe duchy się rozprzęgą.
— A tak, tak bracie...
nastaw samowara,
Zimno, to izbę coś ogrzeje para...

I stary Adolf żwawo się zakrzata,
W ulicach ciemno, godzina dziewiąta:
Kule, ogniste zataczając łuki,
W pył roztrącają dzieła pięknej sztuki.
Ogień pożaru silny wiatr poddyma...
— A Notre Dame, bracie?...
— O! Notre Dame się trzyma.

---

[1]) wydawca Temidy, figura znana w całej Emigracyi (przyp. autora
[2]) Seweryn Goszczyński (sic!) przyp. autora.
[3]) [womitowały na miasto].

Spokojna Pani i na straszną burzę
Świecą jej okien kolorowe róże. —
Z placu Bastylii kolumna Lipcowa
Od dołu ognia okryła się złotem:
Anioł z jej wierzchu we [1]) chmurach się chowa,
Jak gdyby skoczył do nieba z powrotem.
Zanika... cienie kształty miasta chłoną.

Widzisz tę babę, furyę tę czerwoną
Z oleju garnkiem: za nią z żagwią Gamen:
Podpala — słyszysz: Amen, krzyczą Amen!
Nie robotnicy, nie niebieskie bluzy.
To są Galery, bracie, i Zamtuzy.
Opoje brzydkie, złodzieje, brudasy,
Biodra krwawymi okręcone [2]) pasy...
Jakież to czasy, bracie, jakie czasy?!...

Zaświeć-że lampkę przed Maryi obrazkiem.
Obrazek ten jest, bracie, po Pułaskim.
Gerycza matka, Rejtanówna z domu
Pomnisz przyniosła...
...podaj okulary.
O! święta Pani! ratuj od pogromu...
Na oczach krople... zwilgotniał od pary.
O! Matko nasza i polska Królowo...

Jeszcze modlitwy nie przebrzmiało słowo,
Gdy się chrapliwy ozwał głos przy bramie:
Otwieraj bramę, bo siłą wyłamię! // [3])

II.

// Kto wy — Polacy
— prędzej, bez hałasu.
Ha! podpalacze! nie ujdzie wam płazem!
Żwawo, hej! żwawo, wojsko niema czasu!
Lampa petrolium pełna przed obrazem.
Pod mur, a na cel dobrze brać żołnierze.
No dalej, prędzej, stary [4]) petrolierze!

---

[1]) [świeci na].

[2]) [opasali].

[3]) Cała strona rękopisu jest naklejona na brulionie, odpowiadającym przepisanemu już manuskryptowi. Wszystkie wiersze poprzekreślał poeta wężykiem w ten sposób, że tylko kilkanaście z nich można odcyfrować. Te zaś zgadzają się z podanemi wyżej.

[4]) [ruszaj].

— Francuzi, bracia, miejcież rozeznanie,
Chociaż te piersi nie szczycą się krzyżem,
Wczora my z wojskiem jako chrześcijanie
Staliśmy, walcząc, w ogniu pod Paryżem.

— Pas de temps, allons, dalej z nim pod ścianę!
— Więc Ludwik, bracie, stanie [1]), gdzie ja stanę,
Ot, tak i razem, na apel do Boga.
Czas nam ze świata, jak droga, to droga.

Ave Maryja! — i wyprostowani,
Jakby ich olśnił blask Anielskiej Pani,
Dłoń w dłoni mężni w ostatniej godzinie,
Z wiarą, że Polska z życiem ich nie zginie,
Po raz ostatni zimnymi powiewy
Wypełnią życiem unużone trzewy.
— Żołnierze! prędzej kończyć z tym motłochem!
Cel! — pal! — padł wystrzał, zadymiło prochem.
Niech żyje Francya! na okrzyk ostatni
Upadających pod płonące mury,
Huk odpowiada w ulicach armatni
I Wersalczyków ciągnących tambury.
Wenseńscy strzelcy sprawili się dzielnie.
Gdybyż do wrogów strzelali tak celnie [2]).
Pieniądze mają. Prusom [3]) się opłacą,
I mają wolność, lecz wolność ladaco.

— No, i cóż dalej? i cóż nasi na to?
— Ha! cóż mówiłem? Pokażmy raz przecie,
Jaką nas Francya nagradza zapłatą
Za przelewaną za nią krew po świecie.
Zbierzmy się wszyscy, czy mąż, czy niewiasta,
Rozwińmy nasze wolności sztandary
I idźmy środkiem zdumionego miasta.
A zobaczym, jak nas Paryż stary,
Któremu wieczną to zostanie plamą,
Przed Napoljońską będzie żegnał bramą [4]).
Francuz takiego wstydu nie wytrzyma.
Niechaj się tylko emigracya zbierze [5]),

---

[1]) [stawaj].
[2]) [Gdyby tak armat obrażali spiżem,
Orzeł by pruski nie wiał nad Paryżem].
[3]) [wrogom].
[4]) [Niechby się starzy zebrali żołnierze].
[5]) [Niech co chce będzie, ja jeszcze w nich wierzę].

Bo gadaj, co chcesz, a ja nie uwierzę[1])//
//W miłość moskiewską: — zaleźli w kałużę,
Szał[2]), polityka błędy robią duże.
— To i cóż? rzucą pół miliona ludzi.
A gdy się w ogniu bitew duch obudzi...
No, to zobaczą — nam pilnować sprawy
Czy los życzliwy, czyli niełaskawy.

Na śmierć gotowi, a na biedę tchórze.
To może lepiej głodnymi oczyma
Czekać na pensyę nędzną w prefekturze.
— Gadaj — a taki z nimi rady niema.

I tu się mowca pochylił nad szklanką,
Kończąc gawędę znaną Warszawianką:

O! Francuzi, czyż bez ceny
Rany nasze dla was są,
Z pod Marengo, Wagram, Jeny,
Lipska, Drezna, Waterlo!

Skończyłem — smutno gasną stare świece
Pożółkłe, wiotkie, jak ten papier w tece...[3])

* * *

Ledwo numer „Gazety Narodowej“, w którym „Dwaj Towiańszczycy“ byli drukowani, doszedł do rąk poety — a już pisał on list do redaktora i opiekuna swojej poezyi, uderzając w lament z powodu kilku błędów drukarskich[4]).

„Czcigodny Platonie! Patrz, czy nie jest to wyraźnie kara Boska na mnie. W wierszu „Dwaj Towiańszczycy“ oto szereg okrutnych pomyłek druku.

---

[1]) [I tu się mowca pochylił nad szklanką,
Kończąc gawędę znaną Warszawianką]. — Na tych wierszach kończyła się pierwsza redakcya poematu, podpisanego nawet w tem miejscu nazwiskiem poety. — Po wykreśleniu podpisu dopisał Lenartowicz cały ustęp końcowy.

[2]) [To i].

[3]) Rękopis pisany na papierze formatu 31×21 cm., złożonym przez pół (31×10·5 cm.), składa się z jednego półarkusza o czterech kolumnach, zapisanych drobno, i skrawka w formacie 29×10·5, na którym mieszczą się strony 5 i 6 rękopisu.

[4]) List do Platona Kosteckiego z d. 13 lutego 1891.

Zamiast Marya Bolesna, powinno być Marya Boleska.

Zamiast kartus — kortez.

Zamiast Rejtanowa — Rejtanówna.

Zamiast Z podpisem: Jeszcze zmiłuj się nad nami — Jezu! zmiłuj się nad nami.

Zamiast grzbietu — grzbieta.

Zamiast: To i cóż wezmą pół miliona ludzi — powinno być: To i cóż rzucą... a każda z tych albo zaciemnia sens, albo w karykaturę rzecz zmienia." [1])

Ważniejszą jednak rzeczą dla przyjaciela Lenartowicza było co innego. Oto na wieść o złym stanie zdrowia poety począł on czynić starania, by go sprowadzić z obczyzny i zapewnić mu jakiś kąt na starość. Wszystko zdawało się dobrze układać, kiedy tymczasem sam Lenartowicz jakąś dziwną obojętność okazał w tym względzie — załatwiając się z całą sprawą tak, jakby to był drobiazg, o którym nawet mówić wiele się nie opłaca. Zdaje się, że chciał już dokonać życia w swej samotności. — Czuł zbliżający się koniec dni swoich i przygotowywał się nań ze spokojem — a życzenie miał jeszcze tylko jedno, by przed śmiercią zaglądnąć do Lwowa, uściskać przyjaciół, a nawet upatrzyć miejsce na cmentarzu, gdzie miałyby spocząć zwłoki jego, sprowadzone kiedyś z Florencyi.

Nawiązując tedy do wspomnianego planu Kosteckiego — bezpośrednio po „sprostowaniu omyłek druku". — te słowa pisał w cytowanym liście:

„Co się tycze obmyślenia mi gniazda... pia desideria, drogi mój Bracie. Wiesz, jak biedował Seweryn, wiesz, jak umierał Darowski, żywej duszy prócz brata nie mając przy sobie; syn własny, którego żona prawie że wypędziła starca z domu, na wezwanie [prawie] konającego ojca nie pośpieszył, wymawiając się złemi drogami. Nie, nie — niema się co łudzić, ale znowu bacząc, że na całym świecie jest tak samo, nie trzeba wszystkiego przypisywać tylko naszej obojętności. Homines summus i gdybyśmy zamiast serca mieli gwiazdę, a zamiast włosów promienie — ha, to bylibyśmy inni.

Chciałbym Was tam powitać, ale tak, żeby o tem nie donoszono — odpłacić Wam pieśnią za pieśń u progu domostwa; mnohaja lita!

---

[1]) W przypisku do listu: „Poprawki ogłoś, bo nuż to przeczyta jaki pan Tretiak."

Ne żurysia mij hażiaju,
Ne za datkom ja idu,
Ot tak sobi zaspywaju —
Widśpiwaju — taj pidu.

Włóczęgi, bracie, nie utrzymasz, ta bo ludzie tacy zwykle pod płotem kończą.

Ściskam Cię serdecznie

Twój brat

Teofil.

Stanisław Lam.

(Dokończenie nastąpi.)

Urzędnicy kancelaryjni
sądów ziemskich i grodzkich
w dawnej Polsce.

(Ciąg dalszy.)

Sejmik z r. 1714 wspomina jeszcze o osobnym urzędniku kancelaryjnym, którego nazywa **g o s p o d a r z e m**. Był to zapewne rodzaj zawiadowcy budynku, a miał go ustanawiać i utrzymywać, wedle uchwały wspomnianego sejmiku, regent. Ustanowienie tego urzędnika nie było konieczne, sejmik wyraża się, że regent „gospodarza pro velle et libitu suo w tejże kancelaryi trzymać powinien". [1])

Jednakże odróżnienie na powyższe kategorye urzędników kancelaryjnych, jak inducentów, lektantów, kluczników nie było niewzruszalne. Owszem, jeden i ten sam urzędnik mógł pełnić kolejno, albo też nawet równocześnie funkcye zarówno inducenta, jak lektanta.

Wśród urzędników kancelaryj sądowych był znaczny szereg młodzieży szlacheckiej. Celem było nabycie przez tę młodzież praktyki prawnej i zaprawienie się do przyszłego zawodu publicz-

---

[1]) A. G. Z., XXII., nr. 231/9, str. 578—579.

nego[1]). Ci urzędnicy, zwani ogólną nazwą kancelarystów, palestrantów (palestritae), także alumnów, ludzie młodzi prowadzili często życie zbyt wesołe i hulaszcze. Sejmik z r. 1683 podnosił ciężkie zarzuty przeciw urzędnikom kancelaryi grodzkiej przemyskiej i podał normy, jakich należało się trzymać co do tych urzędników. Na ogół jednak byli to oczywiście ludzi uczciwi, którym tylko wyjątkowo można było zarzucić pewne czyny niegodne, jak kradzież aktów sądowych.

Liczba tych urzędników była stosunkowo bardzo znaczna. Wyżej wspomniany sejmik z r. 1683 ograniczył ich (w kancelaryi grodzkiej przemyskiej) do 20, wedle innego znanego nam dokumentu, - wynosiła liczba palestrantow w kancelaryi ziemskiej przemyskiej (pominąwszy 16 nazwisk, których nie można było odczytać lub brakujących) 44. Zdaje się, iż połowa i druga połowa wieku XVIII, była tym okresem, w którym liczba palestrantów wzrosła do maximum. Pośród palestrantów ówczesnych znajdujemy wielu synów urzędników ziemskich, którzy tylko dla formy, nie dla pracy zapisywali się do kancelaryi. W latach 1749—1756 znajdujemy w kancelaryi grodzkiej bełzkiej aż 71 palestrantów. Po zaborze Galicyi przez Austryę liczba ta gwałtownie spadła, w tejże samej kancelaryi znajdujemy w latach 1775—1784 już tylko 10, w kancelaryi grodzkiej trembowelskiej w 1777 r. 16 urzędników.

W kancelaryi grodzkiej halickiej liczba palestrantów wahała się w ciągu XVIII. wieku między cyfrą 22 jako najniższą, a 48 jako najwyższą, wynosiła tedy przeciętnie 35. Tak w szczególności n. p. w okresie 1697—1723 wynosiła 35, podobnie w okresie 1721—1734, w latach 1734—1741 spada wprawdzie do 22, jednakże w latach 1742—1753 podnosi się znowu do 40 i 48 w latach 1754—1765.

Oczywiście liczba tych urzędników była wyższa w kancelaryach znaczniejszych, mniejsza w kancelaryach mniej znacznych. Zmniejszała się również i ta liczba czasu wojny, kiedy zachodziło niebezpieczeństwo życia, a nadto z powodu mniejszej ilości spraw, kiedy trudno było nieraz zarobić na utrzymanie. Tak n. p. w r. 1649 w czasie częstych wojen, w kancelaryi grodzkiej bełzkiej było tylko dwóch pisarzów, a i ci potem porzucili kancelaryę tak, iż pozostał w niej tylko sam regent.

Ci urzędnicy kancelaryjni czerpali swe dochody i utrzymanie z dochodów kancelaryjnych, n. p. inducenci. Ta zasada obowią-

[1]) Ibidem, XXII., nr. 119/20, str. 331.

zywała zwłaszcza w czasach późniejszych, kiedy urządzenia kancelaryjne ustaliły się i rozwinęły. W czasach wcześniejszych, kiedy ten organizm nie był jeszcze tak wykształcony, spotykamy wypadki, iż cały personal kancelaryjny był utrzymywany przez pisarza względnie regenta, który za to prawdopodobnie zabierał wszystkie dochody kancelaryjne. Tak n. p. regent grodzki bełzki Jasiński skarżył się w swej protestacyi z r. 1650, iż pisarz grodzki „cancellaristis victum denegavit“ [1]).

Czas urzędowania w kancelaryi był wedle przepisu ordynacyi sanockiej z r. 1717 może nawet zbyt długi, wedle wyobrażeń dzisiejszych, wynosił bowiem 9 godzin, 5 rano od 6 do 11, i 4 po południu od 2 do 6. Przy pracy swej powinni urzędnicy zachowywać się skromnie i przyzwoicie (modeste et sobrie).

Przeglądając nazwiska urzędników kancelaryjnych, spostrzegamy, podobnie jak co do urzędów wyższych, ziemskich i państwowych, pewną dążność do dziedziczności tychże urzędów. Wśród urzędników n. p. kancelaryi grodzkiej przemyskiej znajdujemy dwóch Kordasiewiczów, w kancelaryi ziemskiej halickiej dwóch regentów Smarzewskich. W Bełzie w drugiej połowie w. XVII. było dwóch regentów Jagiełłowiczów, niewątpliwie braci, jeden Mikołaj był regentem grodzkim (1667—1676), drugi Tomasz Aleksander ziemskim (1669—1686). W pierwszej znowu połowie w. XVIII. znajdujemy w tejże samej miejscowości na stanowisku regentów grodzkich kolejno dwóch Lebedowiczów braci, Łukasza (1703—1712) i Dymitra (1712—1731), którzy obaj byli synami regenta grodzkiego włodzimirskiego, Pawła Lebedowicza. Rodziną, jeżeli tak powiedzieć można, par excellence palestrancką byli w Bełzie Chodakowscy. Od połowy do końca XVIII. w. czterech członków tej rodziny piastuje urzędy kancelaryjne. W latach 1749 do 1756 dwaj zapewne bracia, Marcin i Mikołaj Chodakowscy byli inducentami, może trzeci ich brat Jan Teodor był najpierw susceptantem 1754—1763, potem 1767—1781 regentem grodzkim, jego syn Michał objął po ojcu susceptanturę (1774—1781). Dążność do dziedziczności zaznaczała się również pośród niższego stopnia urzędników kancelaryjnych. W kancelaryi grodzkiej trembowelskiej w drugiej połowie w. XVIII. spotykamy po dwóch Pilśnickich, Ratowskich, Skibniewskich i Skórzewskich. Więckowskich było trzech.

Jeszcze dobitniej objawiła się ta dążność w kancelaryi grodzkiej bełzkiej. W połowie i drugiej połowie w. XVIII. znajdujemy

[1]) Castr. Bełz., T. 238, str. 853.

tam między pałestrantami po dwóch Ciołkowskich, Dziewiałtowskich, Łaniewskich, Łośkiewiczów, Mukańskich, Stroszewskich, Widawskich, Wyczółkowskich i Wydżgów. Rokickich było trzech, a Lipskich trzech albo nawet i czterech. Jednakże ta „familiaritas“ doszła może do szczytu w kancelaryi grodzkiej halickiej w ciągu wieku XVII. Berezowscy, Jastrzebscy, Jurkowieccy, Karczewscy, Leszczyńscy, Newowie, Piotrowscy, Podbielscy, Rafałowscy, Wierzchowscy i Żarscy dali tej kancelaryi po dwóch palestrantów, po trzech dostarczyły rodziny: Pawłowskich, Pięknowskich, Sobolewskich, Starzyńskich, Żurakowskich, czterech było Kłopotowskich, a być może i Dąbrowskich, Szumlańskich było aż sześciu. W ten sposób te rodziny zapewniały sobie przeważny wpływ w obrębie swych kancelaryj.

W skład palestrantów wchodzili niekiedy synowie rodzin znaczniejszych, urzędników ziemskich, przeważnie jednakże była to młodzież szlachecka, a nawet nieszlachecka (zwłaszcza w czasach wcześniejszych)[1]), uboższa, dla której sprawowanie urzędów kancelaryjnych było drogą do dalszej krescytywy. Niektóre uchwały sejmikowe, n. p. sejmiku bełzkiego z d. 23. czerwca 1750, zastrzegały nadawanie takich posad wyłącznie tylko dla szlachty.

Pilny urzędnik kancelaryjny, dochodził przy sprzyjających okolicznościach, a zwłaszcza przy poparciu przełożonych względnie innych urzędników, do godności susceptanta, subdelegata, wicesgerenta, a nawet samego regenta kancelaryi. Regent zaś grodzki zostawał bardzo często pisarzem grodzkim, niekiedy nawet podstaroścим. Wyjątkowo przy sprzyjających okolicznościach, popartych długim wiekiem, dochodził regent nawet do najwyższej godności ziemskiej, podkomorzego. Tak n. p. regent grodzki bełzki, Adam Myszka Chołoniewski, został w r. 1744 pisarzem grodzkim łuckim, a w 14 lat potem podkomorzym bełzkim. Prawidłowo jednak karyera urzędnika kancelaryjnego grodzkiego kończyła się na urzędzie pisarza grodzkiego, karyera ta musiała być uważana w swoim zakresie dla nieznacznego urzędnika kancelaryjnego jako świetna. Zwykle ci wyżsi urzędnicy kancelaryjni piastowali (pod koniec w. XVIII.) niższe godności ziemskie (podstoli, podczaszy, miecznik), dochodzili do znacznego stopnia zamożności, a potem forytowali w ten sposób innych członków swej rodziny.

---

[1]) W r. 1569 znajdujemy wśród urzędników kancelaryi grodzkiej przemyskiej dwóch mieszczan. Castr. Prem., T. 288, str. 358—359.

Jako inne przykłady karyery urzędowej, wymienić można Kazimierza Antoniego Milewskiego. W r. 1703 był on susceptantem grodzkim halickim, potem został komornikiem ziemskim halickim, pisarzem grodzkim kamienieckim, cześnikiem latyczowskim i burgrabią halickim. Mniej więcej współczesny mu Michał Dominik z Karwowa Karwowski, regent grodzki halicki 1700—1715, został wicegerentem mielnickim, delegatem ziemi halickiej, w końcu podstarościm i sędzią grodzkim mielnickim. Bardzo urozmaiconą, zarówno pod względem piastowanych funkcyj, jak i urzędowych siedzib, miał karyerę urzędową Michał Franciszek ze Służewa Uchacki. Jako subdelegat sanocki i stolnik owrucki, został on regentem (1740—1761) i subdelegatem grodzkim buskim, po ustąpieniu zaś z regentury (1761) komornikiem granicznym zakroczymskim i posłem na sejm elekcyjny (1764) z województwa bracławskiego. Trudno chyba o większą rozmaitość. Sanok, Owrucz, Busk, Zakroczym i Bracław, oto kolejno te miejscowości, z któremi były złączone funkcye urzędowe Uchackiego.

Ci urzędnicy kancelaryjni, od najwyższych regentów zacząwszy na najniższych palestrantach skończywszy, przeciętnie nie długo, zaledwie lat kilka pozostawali na swych stanowiskach. Niekiedy, chociaż już jedynie wyjątkowo, nawet tylko kilka miesięcy, jak n. p. w drugiej połowie w. XVII. regenci grodzcy bełzcy. Rozmaite były tego powody. Jednych parła młodość bujna i niespokojna szukać szczęścia czy rozmaitości w odległych kancelaryach, inni zamożniejsi przenosili swobodną pracę na roli nad przysiadywanie fałdów w zapylonej kancelaryi, jeszcze innych promowały rychło wyżej zdolności lub stosunki. Zdarzali się i tacy, nieudolni lub nieposłuszni, których usuwała energiczna dłoń zwierzchnika. Wskutek nieporządków, panujących w archiwum grodzkiem halickiem, został n. p. usunięty przez starostę regent grodzki Tomasz Użyński (1685).

Jednakże było wielu, bardzo wielu nawet takich, co przepędzali w kancelaryach lat kilkanaście, kilkadziesiąt, poświęcając im pracę i siły swego męskiego, albo i całego nawet żywota. Nie chcemy tu podawać sporego szeregu nazwisk tych, co po lat 14, 17 czy 19 służyli, ograniczymy się do tych, którzy przynajmniej lat 20 poświęcili służbie kancelaryjnej. Mniej więcej współcześnie w połowie XVIII. wieku byli regentami: w Haliczu grodzkim Antoni Kunaszowski przez lat 26 (1729—1755), w Bełzie ziemskim Stanisław Białobocki przez lat 21 (1733—1754), w Busku grodzkim Michał Franciszek ze Służewa Uchacki przez lat również 21

(1740—1761). Co najmniej lat 23 spędził w kancelaryi grodzkiej bełzkiej Jan Teodor Chodakowski, najpierw jej susceptant (1754—1763), potem regent (1767—1781); skromny palestrant Adam Witanowski lat 32 przebył w tejże samej kancelaryi. Ich wszystkich przewyższył jednak prawdziwy weteran kancelaryjny Marcin Chodykiewicz, przez długich lat 38 (1722—1760) susceptant grodzki halicki, po 27 latach wiernej służby (w r. 1749) wpływowym urzędem burgrabiego grodzkiego halickiego nagrodzony.

Nigdzie jednakże nie trzymali się palestranci tak długo na swych stanowiskach, jak w kancelaryi grodzkiej halickiej. Z wieku XVIII. całego i z kilku końcowych lat wieku XVII. znamy 252 nazwisk palestranckich, z tej liczby 67 służyło co najmniej lat 20, a zatem 26 procent. Ich wielka liczba zmusza nas do pewnej wobec nich niesprawiedliwości, w porównaniu z ich kolegami bełzkimi. Nie możemy nużyć czytelnika, każąc mu odczytywać długie szeregi nazwisk, 13 takich, którzy służyli lat 20, 8 co 23 i aż 30 co 27 lat pozostali na swych stanowiskach. Ograniczymy się do wymienienia po nazwisku tych, którzy dłużej lat 30 pełnili swe funkcye. Służyli tedy lat 31: Baraniecki Mikołaj i Golejowski Stanisław; lat 38: Kolendowski, Pięknowski Antoni, Poniatowski Andrzej; lat 39: Ostrowski Kazimierz, Zabłocki, Żarski Bazyli; lat 40: Jachowicz Jan Kanty: lat 44: Pilawski Stanisław, Wekier Jan; lat 45: Olszański Michał; lat 57: Steblecki, Wierzchowski i Zabielski.

Byli ponadto wśród licznej rzeszy urzędników kancelaryjnych ludzie cisi, wytrwali, którzy prawdziwem przywiązaniem do aktów swych powodowani, nie chcieli ich opuścić nawet wtedy, gdy już ojczyzny brakło. Pozostali wiernie na powierzonym im posterunku, aż do ostatniej chwili, zeszli zeń dopiero, gdy nowy rząd dawne zamknął księgi. I jednych i drugie razem niemal w grobie złożono. Oto nazwiska tych pracowników nieznanych, zasłużyły na te skromną nagrodę, aby je rzadki odczytał czytelnik wszyscy niemal rówieśnicy, urzędnicy kancelaryi grodzkiej bełzkiej: Bielewicz Józef, bracia Łaniewscy Chryzostom i Kajetan, Milewski Michał i Wierzbicki Michał. Drudzy dwaj wstąpili do kancelaryi w roku 1745, trzej pierwsi w 4 lata potem 1749, wszyscy ustąpili z niej dopiero w 12 lat po odpadnięciu tej części dawnej Rzeczypospolitej w kordon austryacki, w r. 1784, po 35 względnie 39 latach wiernej służby. I kancelarya grodzka halicka może podobnymi poszczycić się urzędnikami, z tą jedynie różnicą, iż tutaj już rok 1781 tworzył ostatnią granicę ich działalności. Ostrowski Kazimierz,

Żarski Bazyli od r. 1742, Rossowiecki Andrzej od r. 1752, Bahrynowski Józef, Biliński Bazyli Taras Motowidło, Mierzwiński Stanisław od r. 1754, Grabowiecki Stefan, Ilnicki Jan, Omieciński Ksawery, Pietrzykowski Aleksander Jurczyk, Piotrowski Kajetan Korwin, Podwysocki Michał, Rożański Sebastyan, Staniszewski Andrzej, Starzyński Ignacy, Zajączkowski Stanisław, Żubr Andrzej i Żurakowski Grzegorz od r. 1761 aż do samego końca wytrwali na swem stanowisku.

Od połowy w. XVIII. spotykamy zjawisko kumulacyi dwóch urzędów kancelaryjnych, albo też urzędu kancelaryjnego z niższym urzędem sądowym, n. p. w kancelaryi grodzkiej i ziemskiej tego samego sądu, albo co więcej nawet w dwóch kancelaryach od siebie wcale odległych. Tak n. p. Adam Kowalewski, regent grodzki buski, był równocześnie burgrabią buskim (1693—1712), susceptant grodzki buski Stanisław Duniszewski był zarazem w połowie XVIII. w. subdelegatem grodzkim, Aleksander Śniechowski regent grodzki buski, równocześnie komornik ziemski podolski (1686—1692), susceptant grodzki trembowelski Benedykt Jamiołkowski równocześnie subdelegat grodzki drohicki. Oczywiście jeden z tych urzędów musiał pozostać tylko tytularnym.

W biegu wieków spotykamy też pewną ewolucyę co do urzędników, którzy faktycznie kierowali zarządem całej kancelaryi. Początkowo, jak powiedzieliśmy, właściwym kierownikiem kancelaryi był pisarz, regent kancelaryi albo jeszcze nie istniał, albo też, chociaż istniał, zajmował stanowisko całkiem podrzędne. Taki stosunek n. p. widoczny jest jeszcze w połowie i drugiej połowie w. XVII. w kancelaryi ziemskiej halickiej. Z czasem jednak pisarz usuwa się niejako w głąb, a kierownictwo właściwe przechodzi w ręce regenta. Ten stan rzeczy widoczny jest w większości kancelaryj sądowych przez cały ciąg w. XVII. i połowę XVIII. Ponieważ regent był zastępcą pisarza, o ile chodziło o kierownictwo kancelaryą (officium), przeto w miarę wzrostu jego znaczenia, poczęto mu powierzać także, tu i ówdzie, zwłaszcza na wschodzie, zastępstwo pisarza i w sądzie (iudicium). Regent wykonywał tedy i jurysdykcyę, co jednakże było zjawiskiem wyjątkowem i przeciw czemu zwracała się uchwała sejmiku halickiego z dnia 15 grudnia 1671 r.[1]). W drugiej połowie w. XVIII. i stanowisko regenta staje

---

[1]) Castr. Halic., T. 154, str. 549—550.

się coraz więcej honorowem, a na pierwszy plan występuje jego zastępca, susceptant. Losy kancelaryi grodzkiej trembowelskiej są ciekawą ilustracyą tych zmian. W ten sposób tedy właściwe kierownictwo kancelaryi przechodzi stopniowo od urzędników wyższych do coraz to niższych, a raczej ci urzędnicy niżsi podnoszą stopniowo swe stanowisko i znaczenie.

Ci urzędnicy kancelaryjni, związani tak ściśle z sądem danej miejscowości, dążyli do uzyskania pewnych przywilejów w zakresie sądownictwa. Wyrobiło się do pewnego stopnia bezprawie, polegające na tem, iż ci officyaliści sądowi, występując w procesie w charakterze powodów pozywali przeciwników przed sąd, przy którego kancelaryi byli ustanowieni. Łamano w ten sposób obowiązującą zasadę, actor sequitur forum rei. Przeciw temu nadużyciu wystąpił sejmik halicki z dnia 15 grudnia 1671 r., stanowiąc, iż pozywać oni mogli każdego jedynie ad forum proprium. [1])

Niekiedy mogli urzędnicy kancelaryjni uzyskać jeszcze dalej idące przywileje, n. p. zwolnienie od służby wojskowej, aby tem lepiej mogli pilnować bezpieczeństwa aktów. Taki n. p. przywilej przyznało urzędnikom kancelaryjnym swego województwa laudum sejmiku bełzkiego z d. 14 lipca 1733, co do rozpisanej w tym roku wyprawy wojennej. [2])

Do rzędu funkcyonaryuszów kancelaryj sądowych należeli także w o ź n i sądowi (ministeriales), których czynności są znane, dlatego ich tu bliżej nie dotykamy. Źródła pouczają nas, że niejednokrotnie wobec urzędników kancelaryjnych nie przestrzegali oni winnego posłuszeństwa i uszanowania. Podlegali oni zresztą, podobnie jak i urzędnicy kancelaryjni, nadzorowi regentów kancelaryj. [3])

Kiedy w roku 1772 Austrya objęła w posiadanie Galicyę, utrzymano jeszcze przez jakiś czas (do r. 1784) dawny ustrój sądowy polski, a z nim także polskie urządzenia kancelaryj sądowych. Pozostawiono również prawie wszystkich urzędników kancelaryjnych na ich dotychczasowych stanowiskach. Jednakże około roku 1781 różnica między sądami grodzkimi a ziemskimi została zniesiona, a tem samem w miejsce dawnych dwóch powstała jedna kancelarya sądowa. Równocześnie w miejsce dawnej nazwy

---

[1]) C a s t r. H a l i c., T. 154, str. 549—550.
[2]) C a s t r. B e ł z., T. 322, str. 833.
[3]) I b i d e m, T. 271, str. 921.

polskiej palestrant zaczyna wchodzić w życie nowa, poprzednio nieznana, kancelisty, także archiwisty[1]). Zmiana tych nazw zostaje najprawdopodobniej w związku ze zmianą stanowiska urzędowego tych urzędników, którzy obecnie byli ograniczeni jedynie i wyłącznie do czynności ściśle kancelaryjnych, podczas gdy dawniej, za czasów polskich, czynności ich były o wiele obszerniejsze, gdyż oprócz czynności kancelaryjnych zajmowali się oni zastępstwem stron przed sądami i sami przechodzili drogą awansu niejednokrotnie w grono urzędników sędziów.

Zastępcy stron (adwokaci, procuratores causarum), działający przed sądem, nie należeli do urzędników, jednakże ordynacye dla sądów lwowskiego i żydaczowskiego z r. 1765, tudzież dla sądu grodzkiego trembowelskiego z r. 1776 zawierają o nich pewne postanowienia, które tu przytaczamy. Mieli oni przystępować przed sąd zaopatrzeni w dokumenty wierzytelne, przedkładać genealogie i sumaryusze już spisane, podobnie przedkładać swe wnioski na piśmie, nie zabierać czasu sądowi wnioskami niepotrzebnymi, przychodzić do sądu trzeźwi i zachowywać się przed nim skromnie, traktować swe sprawy poważnie. Kto naruszał te przepisy, ten ulegał osobnym karom, a oprócz tego wykluczano go z palestry. W swych wywodach i wnioskach powinni adwokaci okazywać sądowi należyte uszanowanie, a unikać obrazy stron. Wedle wyżej wspomnianej ordynacyi trembowelskiej mieli adwokaci (maecenates) posługiwać się przed sądami jedynie ludźmi wiarygodnymi, odznaczającymi się wykształceniem i doświadczeniem, każdy z adwokatów był obowiązany przedstawić sądowi na najbliższem posiedzeniu spis swoich dependentów (elenchus dependentium) i jedynie ci mieli być dopuszczeni do sądu i do kancelaryi.

Osobnych urzędników posiadała kancelarya sądowa ziemska, osobnych zaś kancelarya grodzka. W czasach późniejszych jednak w w. XVIII., a nawet w XVII. zdarzało się czasem, że jedna osoba piastowała urzędy w obu kancelaryach. Tak n. p. w r. 1780. Mateusz Filipkowski był zaprzysięgłym subdelegatem sądowym grodzkim przemyskim, a oprócz tego susceptantem ziemskim przemyskim.

---

[1]) Karol Szałański, districtus Haliciensis cancelista. Castr. Halic., T. 387, str. 130 z r. 1781.

W czasach niebezpiecznych dodawano kancelaryom sądowym dla bezpieczeństwa zawartych w nich ksiąg osobną straż, która zostawała do dyspozycyi i pod rządem naczelnym sędziego. Tak n. p. dodano osobną straż kancelaryom sanockim podczas konfederacyi z roku 1715 [1]).

---

[1]) A. G. Z., XXII., nr. 253, str. 634—635.

Dr. Przemysław Dąbkowski.

(Dokończenie nastąpi).

„Siła fatalna“ poezyi Słowackiego.

Przyczynek do sławy pośmiertnej poety.

(Ciąg dalszy.)

IX.

Chrześniak i wychowaniec Kościelskiego, Jan Kasprowicz, choć stosunkowo najmniej uległ „sile fatalnej“ autora Balladyny, mimo to nie zdołał być zupełnym wyjatkiem w tej zadziwiającej regule. Przedewszystkiem pociągała go w Słowackim jego demokratyczność, jego kult dla „ducha wiecznego rewolucyonisty“; a zresztą, jak tu nie uwielbiać poety, który

> Przekleństwem żegnał grób Agamemnona
> I zasłuchany w ostry brzęk łańcuchów,
> Szedł w odblask zorzy, co, jak krew czerwona
> Wciąż się zapala z ogni wielkich duchów,
> A gaśnie tylko dla zjadaczy chleba,
> Którym promienia bożego nie trzeba.

Przejęty uwielbieniem dla Słowackiego, jako poety-Tytana, jako twórcy Króla Ducha, Kasprowicz ma specyalny sentyment dla niego, jako smutnego, osamotnionego wygnańca, który

czasem, idąc po tym wielkim torze
W dal, w którą rzucał posiewy wyzwoleń,
Od łez serdecznych wstrzymać się nie może
Nad pokosami zwalonych pokoleń;
Zasłania oczy, cierpieniami blady
I z strun płaczące dobywa kaskady.

A czasem, płynąc — rozbitek tułaczy —
Po własnych losów wzdętym oceanie,
Jak człek najlichszy, zajęknie z rozpaczy,
Że jego kościom ojczyzny nie stanie,
Że duch, ten Śwityn walk i mąk i znoju
Na obcej ziemi nie znajdzie spokoju.

Ostatnia strofa jest aluzyą do: Smutno mi, Boże! a że ten najrzewniejszy wiersz Słowackiego nie pozostał bez wpływu na natchnienie Kasprowicza, za tem dobitnie przemawia jego liryczny fragment p. t. Nie żałuję, najwyraźniej wzorowany na piątej strofie Juliuszowego Hymnu: „Żem często dumał nad mogiłą ludzi. Żem prawie nie znał rodzinnego domu“ i t. d., i t. d.

Żem młodo rzucił próg rodzinnej chaty
I biegł za słońcem, które złudne snuje
Pasma za sobą; żem darmo zapłaty
Szukał za trudy tam, gdzie zblakłe kwiaty,
Nie żałuję.

Żem między ludzi poszedł, tam, gdzie dźwięki
Młodzieńczej pieśni dzika rozpacz psuje:
Żem ścisk zobaczył wychudzonej ręki
I łzy w źrenicach, żem usłyszał jęki
Nie żałuję.

Że mi podano gorycz do wypicia,
Co jadem swoim zdrój miłości truje,
Żem śród czarnego nie znalazł pokrycia
Złocistych cacek i jasnych farb życia,
Nie żałuję.
— — — — — — — — — —
Żem, jak mogilny krzyż, co skier nie ciska,
Choć go przechodzień gorąco całuje,
Że, kiedy stoję u nieszczęść urwiska,
Żadna boleści łza z ócz mi nie tryska,
Nie żałuję.

Jak Słowacki, tak i Kasprowicz jest namiętnym demokratą, a jako taki, gdy pisał swoje pogardliwe Więc cóż? zwrócone do

naszej arystokracyi, uderzył w te same struny, w które w zakończeniu piątej pieśni Beniowskiego uderzył pokrzywdzony Słowacki, gdy pytał swych antagonistów: „Gdzież to wy idziecie? Jaka wam świeci, gdzie? portowa wieża?... Znam wasze porty i wybrzeża!“ i t. d.

Więc cóż? milczycie? Znam wasze milczenie!
Potajemnymi nas szepty przeklniecie:
Dziś zachodzące waszych słońc promienie,
Co niegdyś krwawo błyskały po świecie,
Rozgłośnej pieśni ze statuy Memnona
Już nie wywabią. Zamarło wam tchnienie,
Zamarło życie śród zwiędłego łona
I wasza lutnia kona... kona... kona...

A jak Słowacki, atakując emigracyjnych Litwinów, godził przedewszystkiem w najpotężniejszego z nich, Mickiewicza, tak Kasprowicz, złorzecząc dzisiejszej arystokracyi, odmawia jej nawet prawa do powoływania się na autorytet Krasińskiego, choć go ona uważa za swego, za swoją chlubę!

Dawniej, tak! dawniej, ten wasz wieszcz zbolały,
Owiany czasów minionych pomrokiem,
Patrząc, jak łamią waszych gór się skały
Od błyskawicznych piorunów, potokiem
Łez z swego serca zalewał pożary,
I płakał, płakał, tonął we łzach cały
Nad grobowiskiem tej sławy prastarej,
Która dziś poszła między sny i mary...

Cokolwiek da się powiedzieć o tym wierszu, jedno w nim pozostanie charakterystycznem, że poeta, kreśląc obraz, apoteozujący Krasińskiego, opisuje go w sposób, zapożyczony od Słowackiego. Jeszcze jeden efektowny przykład „siły fatalnej“ poezyi Juliusza!

X.

A zupełnie to samo przydarzyło się i Kazimierzowi Tetmajerowi, który swój słynny wiersz na uczczenie Mickiewicza, jako wieszcza narodowego, napisał w formie, naśladującej wiersz Słowackiego Do autora Trzech psalmów.

Że Tetmajer ze wszystkich poetów polskich najbardziej umiłował Słowackiego, tego dowiódł zaraz swem pierwszem młodocianem wystąpieniem na niwie poezyi, mianowicie poematem p. t. Illa, napisanym poetyczną prozą Anhellego, a tak do złudzenia naśladującym styl i ton tego utworu, że ma się wrażenie, jakby to były jakieś nieznane rozdziały Anhellego.

Oto n. p. Rozdział II. tego poematu tem bardziej zasługujący na zacytowanie, iż Illa, wydrukowana w akademickiem Ziarnie w roku 1886, a następnie wydana „nakładem autora“ w bardzo niewielkiej liczbie egzemplarzy, dzisiaj należy już do rzadkości bibliograficznych.

Życie płynęło Gryfowi na wyspie cicho i w pracy. Wraz z niewolnikami króla uprawiał mu pole i znosił ryby i owoce.

Z początku patrzyli na niego wyspiarze nieufnie, ale potem, widząc, że spokojny jest i w pracy gorliwy, a do pomocy drugim skory, poczęli zbliżać się ku niemu i sam król wyszczególniał go nad innych niewolników.

Często chodził Gryf na polowanie z synem królewskim, a gdy raz ocalił go od kłów ranionej pantery, wyniósł go za to król do wolnych, t. j. tych, którzy mieli grunt własny.

Pole jego rozciągało się nad morzem, grającem w słońcu barwami szmaragdów i szafirów; nieraz wieczorem po skończonej robocie siadał Gryf na brzegu i patrząc na morskie fale szumiące, zamyślał się o Ojczyźnie, która była daleko.

Tamtędy wracała zawsze o zachodzie słonecznym Illa z nadbrzeżnych łąk, gdzie pasła trzody królewskie. Dotąd nie mówili nigdy ze sobą, choć młody Polak długo patrzał za dziewicą, gdy odchodziła smukła, jak palma zielona.

Raz jednak Illa, widząc go smutnie zamyślonego na brzegu morskim, przystąpiła ku niemu i lekko trącając w ramię, zapytała, o czem myśli? Wtedy Gryf odrzekł jej, że o Ojczyźnie.

Usiadła więc przy nim, odesławszy trzody ze służebnemi pachołkami, i prosiła, aby jej opowiadał o swojej ziemi rodzinnej, której ona nie miała.

Więc Gryf opowiadał jej o bojach, poświęceniach, mękach swych braci i o upadku; a oczy Illi zaperliły się łzami współczucia i rzekła: „Żal mi braci twych, bo byli mężni i nieszczęśliwi, ale czemuście upadli?“

Smutno wtenczas zrobiło się Polakowi, że musi opowiadać czystej dziewicy o pysze, chciwości, samolubstwie, nieufności wzajemnej i zdradach swych rodaków. A Illa, słuchając, pochyliła złotą głowę na łono i rzekła: „Samiście winni upadkowi waszemu".

Wtedy ozwał się Gryf: „Czyż godzi się potępiać cały naród, dlatego, że część jego była zła? Ci, co walczyli z wiarą w zwycięstwo, wznieśli się wyżej, niż nizko zdołali upaść ci, co zwątpili".

Zamyśliła się dziewica i rzekła cicho: „Gdybym takiego spotkała, pokochałabym go, bo nieszczęśliwy i szlachetny. Czy wasi dobrzy wszyscy śpią na orężu w mogiłach".

Gryf odrzekł: „Nie. Część tych, co walczyli, opuściła Ojczyznę i powędrowała w świat, aby nie popaść w niewolę: a nie zabijali się w rozpaczy, albowiem ufają, że wrócą i wzniosą sztandar swobody. Część przykutą została do taczek sybirskich, a inni wreszcie zostali wygnani na zawsze; a jam jest jeden z tych".

Naowczas Illa pochyliła się ku niemu, pocałowała go w czoło smutne i tęskne i rzekła: „Kocham cię, boś nieszczęśliwy. W przyszłość patrzeć nie mogę, ale mi jakieś duchy szepcą, że miłością bratnią i wiarą w siebie powstaniecie. Więc kochaj i wierz".

Zadumał się smutnie Gryf, albowiem w jego Ojczyźnie tych haseł nie znano.

Wtedy dziewica, chcąc spędzić chmurę smutku z czoła Polaka, spytała: „Powiedz mi, czy twoja Ojczyzna zawsze nieszczęśliwą była?"

Natenczas Gryf opowiedział jej o sławie i czynach Chrobrego, Batorego i Sobieskiego; Illa słuchała zapatrzona na morza sine zwierciadło i rzekła, że wielkimi byli ojce Gryfa.

A gdy opowiedział jej o Kościuszce, zapłakała łzami, tak, jak płaczą lilie w rankach majowych uperlone rosą, nad losem jego; a gdy opowiedział jej o Pułaskim Kazimierzu, zabiło jej serce do jasnego rycerza.

On zaś zwiesił głowę na piersi i rzekł: „To byli jedni z ostatnich".

I płakała nad tułaczami z pod chorągwi Napoleona, co ginęli gdzieś w piaskach Egiptu i w stepach moskiewskich.

i w wąwozach Hiszpanii; i nad tymi, co ponosili męki w kopalniach Sybiru.

A Gryfowi opowiadającemu robiło się coraz smutniej w sercu; kiedy spojrzał na łany pszeniczne, przypomniały mu się pola złote od kłosów jego rodzinnej wioski, jej bory ciemne i łąki zielone, i góry sine w chmurach usrebrzone śniegiem.

Przypomniały mu się słońca polskiego zachody, w których się granitowe Tatry czerwieniły, i dźwięk dzwonu, co w jego wiosce ludzi na Anioł Pański zwoływał, i tęskno mu było do Ojczyzny. Daleko była jego ziemia rodzinna, jego dworek z modrzewia, w którym go matka i ojciec na krwawy bój wysyłając błogosławili, i było mu tęskno do nich.

A była to właśnie pora, kiedy się w Polsce poczyna ziemia wiosną zielenić i majowe deszcze perły na różach i liliach wieszają; mnóstwo więc jaskółek leciało z południa ku północy.

Gryf wskazawszy je Illi, jak leciały ponad szyba morza szmaragdową gromadami, rzekł: „Patrz, one lecą do mej Ojczyzny. Wrócą do swych gniazd pod strzechami słomianemi i pod dachami dworów i kościołów; a ja czy ujrzę kiedy lipy, co dwór mój ocieniały?

Nacóżem walczył i cierpiał, na cóż opuściłem Ojczyznę? Nie zwyciężyłem wrogów, a umrę daleko od Polski, między obcymi! Zaprawdę lepiej mi było zginąć na polu walki, albo w odmętach morskich!“

Nic smętniejszego zaś, jak zakończenie Illi, w której reminiscencye z Anhellego występują jeszcze wyraźniej. Co pewne jednak, to, że ta bohaterska śmierć Gryfa niczem nie ustępuje śmierci Anhellego, a roli, jaką przytem gra Illa, mająca w sobie wiele z Ellenai — może jej sama Eloe pozazdrościć

Gdy widzenie zniknęło, ocknął się Gryf: lud miotał na niego przekleństwa i groził mu śmiercią, więc wygnaniec wyrwał najbliższemu wojownikowi oszczep z ręki i w samego siebie w piersi pchnął z rozpaczy. Już nie miał gdzie żyć i po co.

Wtedy Illa rzekła: „Ustąpcie i uszanujcie powagę śmierci“. Więc lud cofnął się i opuścił miejsce, na którem leżał umierający.

Klękneła naówczas dziewica nad Gryfem, a z za szaty jej wysuwał się srebrny medalion, około którego był napis polski; ranny przycisnął go do ust i rzekł cicho: „Umieram daleko od mojej ziemi, lecz córka jej jest przy mnie. Przebacz mi za braci moich; upadłem, alem kochał Polskę“.

Skonał. Illa złożyła dłonie i modlić się poczęła: „Boże, przebacz mu, bo wiele kochał i cierpiał. Przebacz mu, przez krew bohaterów, co zlewała pola jego Ojczyzny i przez katusze męczenników jego narodu. A jeśli ciało jego nie spocznie w trumnie z polskiego drzewa, pozwól, aby dusza jego ujrzała łany i góry rodzinne, których ja, Polka, nigdy nie ujrzę“.

W tej chwili ukazał się modlącej się dziewicy anioł życia, promienny, w blasku jaśniejszym, niż słońca purpura, i rzekł: „Modlitwa twoja go zbawiła“.

I wywołał duszę z ciała Gryfa, białą i czystą. A właśnie podówczas odlatywały już na północ jaskółki; więc przyłączyła się do nich i z wieńcem ptaków poleciała ujrzeć raz jeszcze Ojczyznę.

Anioł przemówił wtedy do Illi: „Żeś kochała i wierzyła, nie umrzesz, ale zaświecisz na niebie gwiazdą na dzień Polski.“

I uczuła dziewica woń róż i lilij, i ciało jej rozwiało się w mgle, a duch jej zajaśniał nad szafirowem sklepieniem gwiazdą różaną i złotą nadziei.

Zwłoki Gryfa pochowali wyspiarze w grobie, wykopanym pod palmy cieniem; a niedługo przyniósł wiatr z północy nasienie dębu polskiego i posiał go nad grobowcem przy palmie.

I rosły te dwa drzewa przy sobie, jakoby wspomnienia Gryfa i Illi.

Poemat zaś, jaki o nich napisał Tetmajer, choć go autor nie wcielił do zbiorowego wydania swych poezyj (a znalazłoby się dlań jeszcze miejsce w *Melancholii*), pozostanie w literaturze, jako najpiękniejszy okaz wpływu *Anhellego* na przyszłego autora *Qui amant*.

Już to wogóle, jeżeli chodzi o umiejętność pisania stylem Anhellego, Tetmajer celuje pod tym względem. Najpiękniejsze i najrzewniejsze „poezye prozą“, składające się na cykl p. t. Melancholia, pisane są tą anhelliczną manierą. Dość wymienić Wspomnienie, Sąd, Miłość, Szczęście, Żórawie.

Wobec tego przejęcia się stylem Słowackiego, nie dziw, iż i jego Smutno mi, Boże! nie mogło nie pobudzić Tetmajera (jak tylu innych poetów przed nim i po nim) do naśladowania. Jakoż w drugiej seryi jego poezyj jest między preludyami jedno, które z Hymnem Juliusza — a także i z Trenami Kochanowskiego — w niewątpliwym pozostaje związku.

Smutno mi, Boże! Ty, co tam w błękitach,
Jeśliś jest, jesteś... Smutno mi bezdennie.
Dusza ma, zda się, w grobowcowych płytach
Śni sen straszliwy o życia Gehennie,
I w jakąś martwą omdlałość wtrącona,
Zamiera zwolna ciągle, choć nie kona.

Smutno mi, Boże! Oto już nic zgoła
Nie może we mnie obudzić wesela:
Coraz mi zimniej krew płynie do czoła,
Serce się we mnie zwęgla i spopiela:
Zamierającej duszy nic nie nęci,
Oprócz spocznienia, oprócz niepamięci.

W tejże drugiej seryi poezyj Tetmajera znajduje się prześliczny List Hanusi, pisany oktawą, w narzeczu góralskiem, wzorowany na słynnym liście panny Anieli z Beniowskiego, co również trzeba powiedzieć i o dwóch następnych listach tejże Hanusi, które, choć pod względem rzewności i uczucia nic a nic nie ustępują pierwszemu, to przecież mimo to nie przestają być naśladownictwem pierwowzoru z Beniowskiego.

Nieco odmiennie przedstawia się sprawa wiersza Tetmajera o Beatrix Cenci. Jest to rzewny monolog pięknej Rzymianki w więzieniu, jakby pożegnanie z życiem, z którem jej rozstać się nie przychodzi łatwo. Jakkolwiek na tym wierszu odbił się niewątpliwie wpływ La jeune captive Cheniera, to z drugiej strony można być pewnym, iż jest to dośpiewanie motywu z tragedyi Słowackiego o Beatrix Cenci, bez której możeby Tetmajerowi nie przyszedł pomysł do tego utworu. Rzewność, cechująca ten monolog uwięzionej i czekającej na stracenie Beatrix, bardzo

jest pokrewną „ostatniej obronie Rzymianki“ w scenie sądu z tragedyi Juliusza.

Jeśli o rzewność chodzi. którą tak jest przesiąknięty w pierwszym rzędzie poemat W Szwajcaryi, to i Tetmajer nie potrafił się oprzeć jej urokowi. Dowodem jego wspaniały erotyk Qui amant. któremu za tło. obok Tatr, również służy jezioro genewskie. a który napisany takim samym jedenastozgłoskowym wierszem, jak W Szwajcaryi, nietylko jako całość, jest w tym samym rodzaju, ale nawet posiada cały szereg strof i obrazów, uderzająco przypominających poemat Słowackiego.

Oto n. p. początek rozdziału, wyraźnie wzorowany na scenie przed kaplicą Tella: „pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów, stoi cichości pełna i kolorów Tella Kaplica...“

Wśród ciemnych borów jest kapliczka z drewna,
Mała kapliczka w podgórskiej ustroni.
Tam. jak cudowna z legendy królewna,
Przyszła. uklękła i śliczną twarz w dłoni
Ukryła, klęcząc. Było rano. Świeże
Srebrzyły rosy gałęzie i trawę;
Daleko góry błyszczały, jak wieże.
W szafirze nieba ciemne i złotawe.
— — — — — — — — — —
Ona. ze skronią na dłoniach klęcząca.
Duszą wzniesiona w niezmierne niebiosy,
Wydała mi się snem, widzeniem, zjawą.
I nigdy tego rana nie zapomnę,
Tych gór w przestworzu świecących złotawo,
Jak piramidy i gmachy ogromne,
I jej klęczącej. i tej świeżej rosy.

Ostatnie zdanie dziwnie przypomina następujący dwuwiersz u Słowackiego:

I tak mię budzą, zalanego łzami,
To drzewo. księżyc ten i ta fontanna.

Inny rozdział w Qui amant zaczyna się tak:

Byliśmy razem w kamiennej dolinie,
Gdzie się piętrami ścieżka w górę winie,
Wbiegając wężem na ścięte urwisko,
. . . .
Na urwiska brzegu..
. . . .

Patrząc jej w oczy, przewiodłem Ją, w ręku
Czując Ją całą, pełną zaufania,
A razem pełną niewieściego lęku,
Tam czułem serce Jej przy sobie blisko,
Serce przy sercu...

Czytając ten opis, trudno nie pomyśleć o scenie W Szwajcaryi, gdzie poetę

raz ów anioł uprowadził złoty
Przez jasne łąki do lodowej groty;

a jednocześnie przypomina się scena pod kaskadą, gdzie bohater poematu ośmielił się pocałować ukochaną

I czułem ją tu, na mych rękach, białą,
Sercem bijącą, brylantową w oczach.

Wogóle dałoby się wymienić cały szereg erotyków Tetmajera, przy których czytaniu chcąc nie chcąc myśli się o różnych ustępach z szwajcarskich trenów Słowackiego. Oto n. p. Sonet. niewątpliwie osnuty na motywie: „pójdziemy razem na śniegu kokorony..."

Pójdziemy razem na gięte przełęcze
Obłękitnionych gór nad morską tonią;
Pójdziemy słuchać, jak w oddali dzwonią
Fale, od skał się rozbryzgując w tęcze

Pójdziemy patrzeć, jak się na pajęcze,
Lotne mgieł łodzie blaski słońca kłonią
I za okrętów białym żaglem gonią
Za ciemne morskich rubieży obręcze.

Pójdziemy patrzeć, kędy śród lazuru
Marzącej wody Capri się promieni
Błyszczącą ścianą skalistego muru...

Serca nam usną, a dusze zatoną
W jakiejś niezmiernej, świetlanej przestrzeni,
W słonecznych omdleń ciszę nieskończoną. [1])

[1]) Dałoby się napisać całe studyum o wpływie tej cudownej strofy z poematu Słowackiego na młode pokolenie poetów w Polsce. Prawie niema tomu poezyj, gdzie to „pójdziemy razem" nie obiło się mniej lub więcej wyraźnem echem.

Istnieje piękny wiersz Tetmajera Na cześć Adama Asnyka, napisany na jubileusz El...y'ego w r. 1896, a w wierszu tym. sławiącym zasługi autora Pygmaliona, może najwymowniejsze strofy zawierają wyrażenia — nawet w cudzysłów ujęte — z poezyj Słowackiego.

Więc „niechaj żywi nie tracą nadziei“,
Wołasz, i trwogi precz odpędzą chłód!
Niech w epok zmiennie wieczyście kolei,
Jaki czas niesie, podejmują trud!
I naprzód idziesz, syn i spadkobierca
Ogromnej duszy i wielkiego serca.

Taki n. p. jest wiersz Józefa Jedlicza, którego początek brzmi, jak następuje:

Pójdę na ciche pola, na kwitnące sady,
Gdzie grają w śnie południa złote hymny pszczelne;
Pójdę pod białe, słońcem roześmiane chaty,
Gdzie śnią urokiem ziela wybujałe grzędy,
Gdzie święte, tajemnicze kwitnienia obrzędy
Mąci szałem radości ptactwa huf skrzydlaty,
Tam w cienistej zaciszy, patrząc w bujne plony...
i t. d., i t. d.

Albo następujący erotyk Zygmunta Różyckiego, czyż to nie waryacye na temat z tejże samej strofy Słowackiego, z tą różnicą jedynie, iż tu zamiast: „pójdziemy razem“ jest: „powiodę Ciebie“.

Kędy opary nad łąkami wstaną
I gdy miesięczne blaski się rozzłocą,
Powiodę Ciebie nad toń zwierciadlaną...
. . . .
Gdzieś nad wikliny senne i nad łozy
Powiodę Ciebie smutną, taką bladą;
Pacierz nam szeptać będą ciche brzozy,
Sypiąc swych liści srebrzystą kaskadą.

Pójdziemy wielką otuleni ciszą,
Wsłuchani w rzewne północne peany,
Tam, gdzie półsenne złote gwiazdy wiszą.
. . . .
Księżyc przed nami srebrną drogę rzuci,
Będą nas żegnać pieśnią wonne kwiaty
A my przejrzystą, lekką mgłą osnuci
Będziemy płynąć w czarowne zaświaty.

Temu tłumowi, tym „zjadaczom chleba“.
Ty, kołysany przez piór orlich szum,
Gdzieś, z pod słońcami huczącego nieba,
Nigdyś nie krzyknął pogardliwie: tłum!
Aniś się z gniewem odwrócił od cieśni
Dusz i serc tłumu, „królewski syn pieśni“.

Gorący wielbiciel Słowackiego, nie mógł Tetmajer pozostać w tyle, gdy w roku 1899 wypadła 50-ta rocznica śmierci Juliusza, a że czasy to były smutne, czasy „bezdennej ciemni, goryczy serc i złamania dusz“, więc i pean Tetmajera, podniośle nastrojony, wypadł bardzo beznadziejnie.

Najpiękniej wypadła strofa, naśladująca modlitwę z wiersza Do Autora Trzech psalmów, a nawet i pod względem formy bardzo zbliżona do niej:

W goryczy naszych serc, w goryczy naszych dusz
Ta się modlitwa poczyna:
Poeto! ręce twe na nasze głowy włóż
W Imię Bożego Syna.
Na Chrystusowa twarz źrenice nasze zwróć,
Na Jego cichą twarz...

Poczem następowała krótka zwrotka, która, o ile to dotycze naszych poetów, równa się prośbie wysłuchanej.

Poeto męztwa i dumnej godności,
Poeto Wyżyn ducha i Piękności:
Z purpurowego płaszcza Twojej chwały
Daj nam strzęp jeden, jeden strzępek mały
Każdy pierś swoją w tę legię ubierze
I będziem Twego legionu rycerze...

Pragnieniu temu stało się zadość (co właśnie jest przedmiotem niniejszej rozprawy): albowiem prawie wszyscy poeci polscy w mniejszym lub większym stopniu korzystali „z purpurowego płaszcza“ Słowackiego chwały, a obdarowani przezeń różnymi z płaszcza tego strzępkami, chętnie piersi swe tą „legią honorową“ przystroili, tak, iż wszyscy prawie bez wyjątku legionu jego rycerzami mogą się nazwać. W każdym razie Tetmajerowi dostał się wielki krzyż komandorski tej legii.

Że autor cudnego Listu Hanusi przejęty jest Beniowskim. o tem świadczy przedewszystkiem jego świetny poemacik oktawą pour passer le temps, którego oktawy pod żadnym względem nie są gorsze, ani mniej błyskotliwe, od swych poprzedniczek w fajerwerkowym poemacie Słowackiego. List zaś, jaki tam pisze poeta Henryk do pani Ireny Kufke, swej dawnej ukochanej, nietylko nie jest mniej rzewnym od listu panny Anieli do Beniowskiego, ale go nawet przewyższa swym bezbrzeżnym smutkiem. Nadto są w tej wierszowanej nowelli, pisanej krwią i łzami, takie oktawy, które nawet miękkiemi wyrażeniami przypominają niektóre ustępy w Beniowskim. Tak n. p. w jednej oktawie pieśni II., po słynnem tfu! na wiadomość o zamążpójściu swej lubej, powiada Słowacki:

To mię cokolwiek zmieszało, nie bardzo,
Ale cokolwiek zmieszało, Bóg świadkiem
Są ludzie, którzy wtenczas klną i gardzą,
Lecz ja to smutnym nazywam wypadkiem...

Właśnie taki sam smutny wypadek zdarzył się bohaterowi poemaciku Tetmajera, bo i on, choć śmiertelnie zakochany w pięknej Irenie, dowiedział się któregoś dnia, nie na piramidzie wprawdzie, ale w Warszawie, że jego ukochana tfu! za mąż idzie! A gdy wreszcie została żoną bogatego piwowara,

Po tym wypadku on zerwał ze światem
I cały chłopom oddał się u siebie..

. . . .

To go zmięszało tak, że horoskopów
Już nie pytając żadnych, co mu radzą:
Wyrzekł się swojskich panien, sztuk i chłopów,
Okno idei zasmarował sadzą.
Jeszcze raz złotu przypatrzył się snopów,
Jeszcze raz spojszał, jak kartofle sadzą,
I z swem ojczystem rozstawszy się polem,
Zakupił willę gdzieś pod Neapolem.

Jest w Beniowskim słynna oktawa o krytyce, igrająca różnymi inicyałami krytyków emigracyjnych:

Imię krytyki? nie, krytyków! A! tak!
Któż z nich ma imię? Z., K. S., K. E., K. ...
Mówią, iż Młodą Polskę pisze baba,
Ale ja widząc, jak kąsa i szczeka,
Sądzę, że Jezuita...

W podobny sposób rozprawił się raz w specyalnym wierszu Tetmajer, gdy nie wszyscy krytycy należycie ocenili „drugą seryę“ jego poezyj.

Ta książka krwią pisana jest,
Krwią, co się burzy władzy boskiej,
Tragiczny nad nią zrobił gest
W Przeglądzie Polskim pan Tarnowski.

. . . .

Pan K. R. Z., gdy w Prawdzie raz
Do Ady Negri się zabiera,
Przy tej okazyi zbeształ was:
Liryków w guście Tetmajera,
Tych mistrzów formy, którym dam
W salonach uwielbienie starczy...

. . . .

„Którym jest obcy świata trud
I z wszelkich idej skwitowali.“

. . . .

Ja zaś odpowiem. pragnąc się,
Choć późno, bronić od napaści:
Co komu starczy, a co nie.
Wieść o tem wyżej nosa waści,
A z czego kto skwitował, lub
I nie skwitował, K. R. Zecie.
Wprzód trzy dni się po nosie dłub.
Zanim ogłosisz to w gazecie.

Jak daleko sięga wpływ Słowackiego na Tetmajera, najłatwiej przekona się każdy, kto uważnie przeczyta dwa jego fragmenty dramatyczne: 1) Wizyę Okrętu, w której dyalog prozą pomiędzy Księdzem a Maryą aż do złudzenia naśladuje nastrojowy ton rozmów Salomei z Horsztyńskim [1]): i 2) Męża-poetę, w której

[1]) Podobnie nastrojone są niektóre rozmowy w nowelli Tetmajera o Księdzu Piotrze, przy którego czytaniu raz po raz przychodzi na myśl Horsztyński Słowackiego. Jak Słowacki, tak i Tetmajer przetłumaczył pierwszą pieśń Iliady i parę fragmentów z następnych pieśni. Jak Słowacki. tak i Tetmajer napisał dramat o Zawiszy Czarnym.

to wdzięcznej bluetce scenicznej, napisanej świetnym wierszem, dyalog toczy się zupełnie na sposób Nowej Dejaniry (Niepoprawnych), przez cały czas utrzymując się w tonie rozmów Fantazego z Idalią.

FERDYNAND HOESICK.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Żygmunt Kaczkowski

i jego czasy.

(Na podstawie źródeł i materyałów rękopiśmiennych).

(Ciąg dalszy.)

VIII.

(Z. Kaczkowski w sferach publicystycznych, politycznych i dyplomatycznych. — Stosunki z Ministrem Stanu hr. Belcredim. — Nominacya hr. Agenora Gołuchowskiego powtórnie Namiestnikiem Galicyi. — Pertraktacye w tej sprawie i warunki. — Kwestya Marszałkowska. — Pamiętniki ks. Leona Sapiehy. — Misye dyplomatyczne Kaczkowskiego. — Wydawnictwo „Morgenpost". — Chwile zniechęcenia. — Plany publicystyczne. — Zamiar wydawania dziennika polskiego w Wiedniu. — Znaczenie Kaczkowskiego na polu dziennikarskiem. — Listy jego w tej sprawie do Smarzewskiego, pełne goryczy. — Krytyka literatury współczesnej. — Ciepła wzmianka o zmarłym Szajnosze. — Przedsiębiorstwa przemysłowe. — Naprężone stosunki z ks. Adamem Sapiehą. — Pozycya materyalna Kaczkowskiego. — „Banque des Provinces". — Zamiar kupienia dóbr ziemskich w Galicyi. — Ponowne zabiegi o mandat poselski i ponowne niepowodzenie. — Rozgoryczenie z tego powodu. — Nienawiść do „Stańczyków". — Zjadliwe zdanie o Galicyi. — Usposobienie sfer demokratycznych dla Kaczkowskiego. — Jego złudzenia w tym względzie. — „Teka Nieczui". — Pamflet ten nie wywołuje wrażenia. — Powrót do Paryża. — Finansowe i przemysłowe spekulacye. — Widzenie się z Namiestnikiem Zaleskim w Paryżu. — Projekt amortyzacyi Listów zastawnych Towarzystwa kredytowego ziemskiego. — Zygmunt Sarnecki o Kaczkowskim.)

Rozszerzając ciągle swoją działalność publicystyczną, nawiązawszy stosunki ze wszystkimi niemal wielkimi organami opinii publicznej w Europie, zbliżył się tem samem Kaczkowski do sfer politycznych i dyplomatycznych i umiał sobie tam pozyskać nietylko głos, lecz i wpływy. Zręczności pod tym względem nikt mu chyba odmówić nie może.

Wpływy te wzmogły się zwłaszcza od chwili, gdy na czele Rządu austryackiego stanął Ryszard hr. Belcredi (1865—1867).

Stosunki z nim wyjaśnia obszernie Kaczkowski w liście do pani Jadwigi Liskowej, pisanym z Paryża, d. 16 maja 1894 [1]), z powodu ustępu we „Wspomnieniach" ks. Leona Sapiehy, podówczas wydanych [2]). Ustęp ten brzmi:

„Minister Belcredi chciał dać Galicyi namiestnika Polaka. Jedynym Polakiem, mającym zaufanie Cesarza, był hrabia Gołuchowski, na niego więc i minister zwrócił uwagę. Bawił on wtenczas dla zdrowia w Badenie pod Wiedniem. Bardzo mnie zadziwiło, gdy dowiedziałem się, że do traktowania z nim używał minister Kaczkowskiego Zygmunta, literata, nienajlepszej zażywającego reputacyi. Był on czynnym w r. 1863 w komitetach narodowych. Oskarżają go, nie wiem, czy słusznie, że potem denuncyował biorących udział w tych komitetach. Ale że sprytny i ruchliwy, umiał sobie zjednać zaufanie ministra. Z pewnego źródła dowiedziałem się, źródła, któremu to xiążę Auersperg przyznał, że Kaczkowski z ministerstwa spraw zagranicznych pobiera pensyę fl. 10.000 rocznie, jako agent policyi tajnej politycznej, a dla lepszego ukrycia swych czynności redaguje w Wiedniu dziennik niby opozycyjny."

Było to jeszcze jedno, już ostatnie echo przejść z r. 1863, które jednak mocno Kaczkowskiego dotknęło. Gdy mu o tem doniesiono — a uczyniła to stale mu życzliwa pani Jadwiga Liskowa, — pospieszył wnet, nie znając jeszcze w całości tego ustępu, z następującem wyjaśnieniem:

„Wracając po wydaniu amnestyi w Austryi do kraju, przyjechałem dnia 16 stycznia 1866 do Wiednia i tego samego dnia wieczorem spotkałem w jednym z tamtejszych domów arystokratycznych na herbacie hr. Ryszarda Belcrediego, który od kilku miesięcy był Ministrem Stanu, a którego znałem osobiście od lat kilkunastu. Po herbacie wywiązała się pomiędzy nami konwersacya o ówczesnej sytuacyi w Austryi i o tem bardzo trudnem zadaniu, które Belcredi przyjął na siebie, — a w tej konwersacyi powiedziałem mu otwarcie, że popełnił błąd wielki, ogłaszając zawieszenie konstytucyi, a teraz popełnia błąd drugi, kneblując prasę, albowiem jeżeli z tej sytuacyi wyjść można, to stać się to może tylko za pomocą rozumnie kierowanej wolności druku. Zdanie to tak go uderzyło, że prosił mnie, abym go nazajutrz wczas rano

[1]) Zbiór w Bibl. Ossolińskich, Nr. 4985. Ms.

[2]) „Leon Xiążę Sapieha. Wspomnienia (z lat 1803—1863)". Lwów, u Altenberga, str. 261.

w jego biurze odwiedził, gdziebyśmy mogli o tem spokojnie pomówić. Ta druga rozmowa nasza trwała parę godzin, a jej rezultat był taki, iż mi się przyznał, że on sam już na tę myśl wpadał, ażeby prasie cugli popuścić, i na tej drodze zdania publiczności o przyszłej organizacyi Austryi wywołać, ale nie miał dotąd odwagi z tem zdaniem wystąpić, bo ma dwóch ministrów obok siebie, Majlatha i Eszterhazego, którzy niezmiernie są reakcyjni... Nadto zaś wszystko sam sobie nie ufa, iż znajdzie dość argumentów na poparcie swojego zdania, bo z działaniem wolności druku w tych krajach, gdzie takowa istnieje, niedostatecznie jest obeznany. Zaczem zasiedliśmy we dwójkę do tej roboty i w kilka dni wygotowaliśmy Memoryał, dowodzący koniecznej potrzeby, nie prawnej, bo ta była niemożebna, ale faktycznej wolności druku, a w parę dni potem propozycya ta została tak przez owych ministrów, jak przez Cesarza, nawet bez żadnego oporu przyjęta. Dzienniki zostały o tem na drodze poufnej zawiadomione, — i łatwo się domyśleć, jakie zadowolenie ten krok wywołał w całej opinii publicznej wiedeńskiej. Dla mnie zaś stąd wyniknął ten skutek, iż zyskałem przez to zupełne zaufanie Belcrediego, a zarazem i tych, którzy stali obok niego i nad nim, — a przytem, ileże się wkrótce rozniosło, z czyjej inicyatywy to postanowienie zostało powzięte, zyskałem pewną popularność w mieście, a to nawet do tego stopnia, że ktokolwiek chciał coś zaproponować rządowi, ten z tem udawał się do mnie. Musiałem nawet wziąć obszerniejsze mieszkanie w hotelu Erzherzog Karl, bo codziennie po kilkanaście, a czasem i po kilkadziesiąt osób bywało u mnie. Polacy, którzy także hurmem ściągnęli się do mnie, byli mi wówczas także, jak sądzę, bez wyjątku przychylni, przynajmniej nie spostrzegłem, aby który z nich przeciw mnie występował. Że i ja nie zapomniałem o kraju, o tem nie potrzebuję wspominać, ale wtedy dla Galicyi nic zrobić nie było można, bo wówczas chodziło przedewszystkiem o Węgry, o których rozumiano, że się skromną autonomią dadzą uspokoić, bez Kroacyi, Slawonii i Pogranicza, poczem zamierzano resztę Monarchii na cztery grupy podzielić i na tej drodze wewnętrzną równowagę wytworzyć. Deak, z którym w cichości układaliśmy te sprawy, nie był dalekim od przyjęcia tej kombinacyi. Ciekawą jest rzeczą, że wówczas we wszystkich sferach rządowych i dyplomatycznych wiedeńskich tylko jeden xiążę Gramont, ambasador francuski znał dokładnie zamiary Węgrów, — jakoż kiedy mnie jednego dnia (a było to w lutym) spytał poufnie, bo byłem z Paryża dobrze zaakredytowany u niego, co robimy z Deakiem, a jam mu

powiedział. com o tem wiedział, on rzekł mi z naciskiem: „*Vous faites fausse route, Vous aurez maille à partir avec les Hongrois, ce n'est pas avec Deak, que vous arriverez à un arrangement. il faut négocier avec Andrassy et Lonyay.*“ Tymczasem... przygotowywano wojnę w tem rozumieniu, że po wojnie zwycięskiej Węgrzy jeszcze skromniejszemi koncesyami się zadowolą. Dowiedziawszy się od Belcrediego, że wojna jest postanowiona i że ma być jednocześnie prowadzona przeciwko Prusom i przeciw Włochom. powiedziałem mu otwarcie. jakie przewiduję z niej skutki, lecz wiedząc dobrze, że na te rzeczy nie mogę wywrzeć żadnego wpływu, a nie chcąc z tą głupotą nic mieć do czynienia. 23 kwietnia wyjechałem z Wiednia, naprzód do Włoch, a ztamtąd do Francyi.“

Tu nadmienić wypada, że jakto z późniejszego listu Kaczkowskiego do pani Liskowej [1]) wynika miał on podówczas. przed wybuchem wojny, misyę od Rządu francuskiego do Rządu austr. w kwestyi uniknięcia wojny z Włochami. Misya ta się nie powiodła, a jeżeli pomimo to Kaczkowski pojechał jeszcze do Włoch, to uczynił to — jak twierdzi — z własnej inicyatywy, a raczej z namowy swoich przyjaciół, stronników pogodzenia się Austryi z Włochami, — lecz od Rządu żadnej do tego misyi nie miał.

„Po zawieszeniu broni, — już w lipcu, — pisze dalej Kaczkowski w liście z 23 kwietnia, — wróciłem do Wiednia i zająłem obok Belcrediego to samo stanowisko. jak przedtem, ale teraz mój wpływ u niego jeszcze znacznie się wzmocnił, raz dlatego, żem dobrze przewidział skutki tej wojny, a głównie z tego powodu, że wtenczas w sprawach rządowych panowała wielka niezaradność. Ale wtenczas i sytuacya wewnętrzna się także całkiem zmieniła. Węgrzy wzięli górę stanowczo i było rzeczą widoczną, że trzeba im będzie dać wszystko co zechcą, a za tem poszło, że już nie można było myśleć o utworzeniu pięciu grup, owszem, w sprawach rządowych zaczęła przeważać idea, iż aby stworzyć przeciwwagę przeciwko wielkim i silnym Węgrom, należy zbić resztę krajów w ciało, ile możności jednolite. Belcredi nie był zwolennikiem tej idei w gruncie rzeczy centralistycznej, ale musiał się liczyć z prądem panującym w górze i podczas kiedy przed wojną zamierzał dać Galicyi autonomię jak najobszerniejszą i zamianować dla niej osobnego kanclerza z siedzibą w Wiedniu, teraz musiał ścieśnić do skromniejszych rozmiarów swoje idee federalistyczne. Zgoła

[1]) z Paryża, 16 maja 1894. Zbiór listów w Bibl. Ossolińskich. Nr. 4985. Ms.

w owej chwili jedyną rzeczą, którą można było otrzymać, było zamianowanie Namiestnika Polaka".

Jak Kaczkowski twierdzi w tym liście, wysuwano rozmaite kandydatury na to stanowisko, a mianowicie z Krakowa: proponowano Henryka Wodzickiego, Adama Potockiego, ks. Władysława Sanguszkę i ks. Leona Sapiehę; ze Lwowa: ks. Karola Jabłonowskiego, Ludwika Skrzyńskiego, Władysława Badeniego i Oktawa Pietruskiego. Belcredi jednak na te kandydatury się nie zgodził. „Ale w tymże czasie — pisze w dalszym ciągu Kaczkowski — zaczął Dobrzański agitować we Lwowie za Gołuchowskim, a zarazem przejechało do mnie kilka osób z różnych sfer ze Lwowa z propozycyą, abym u Belcrediego forytował Gołuchowskiego"

Gdy jednak Kaczkowski uczynił tę propozycyę, Belcredi zrazu odpowiedział odmownie, a to z powodu, że pomiędzy nim a Gołuchowskim były pewne nieporozumienia z czasów, gdy Gołuchowski był Ministrem Stanu, a Belcredi kandydatem na zastępcę Namiestnika na Morawach. Kaczkowski jednak od swego nie odstąpił. „Sprowadziłem — pisze — Gołuchowskiego do Wiednia, trzymałem go w Wiedniu i w Baden przez dwa miesiące, pogodziłem go z Belcredim, Belcredi sam utorował mu drogę do Cesarza, wytargowałem dla niego wszystkie warunki, o które było bardzo wiele trudności i dostaliśmy Namiestnika Polaka".

„X. Leon — powiada Kaczkowski — w jednym z późniejszych listów do pani Liskowej [1]) — niby powiada to samo, ale obraca rzecz do góry nogami, bo tak ją przedstawia, jak gdybym ja negocyował tę sprawę z ramienia Belcrediego, a więc w interesie Rządu, podczas kiedy w rzeczywistości ja ją negocyowałem z ramienia Gołuchowskiego, forytowanego na Namiestnika przez opinię publiczną, a więc w interesie kraju, — dowodem zaś tego jest fakt znany całemu krajowi, że Gołuchowski postawił jako warunek objęcia Namiestnictwa 19 punktów, mających na celu wzmocnienie i unarodowienie, w każdym zaś razie zautomizowanie władzy krajowej, a ja te wszystkie 19 punktów od Belcrediego otrzymałem. Otóż takie przedstawienie rzeczy jest z prawdą niezgodne, a oprócz tego ma widocznie na celu zaprzeczenie tej usługi, jaką wówczas w sposób jak najbezinteresowniejszy oddałem krajowi".

Zasługi tej nie odmawiał mu sam Gołuchowski — „bo zaraz po objęciu Namiestnictwa we Lwowie — pisze Kaczkowski [2]) — przy-

[1]) z 19 maja 1894. Ms.

[2]) List z 25 kwietnia do p. J. Liskowej. Ms.

słał mi deputacyę z urzędników i obywateli złożoną z wyrażeniem podziękowania". „Za te zasługi — dodaje — jakie wtenczas krajowi tak w tej, jak i w innych sprawach oddałem, nigdy od nikogo nic nie żądałem i nigdy nic nie dostałem".

Wszystkie powyższe szczegóły w sprawie nominacyi hr. Gołuchowskiego Namiestnikiem, kreślone w wiele lat później, znajdują zupełne potwierdzenie w listach współczesnych Kaczkowskiego do Smarzewskiego Seweryna [1]. I tak w liście z dnia 18 sierpnia 1866 pisze Kaczkowski:

„Nam, mojem zdaniem, nie pozostaje nic innego, jak żadnych nie stawiać programów, tylko korzystając z tego, żeśmy stanęli na stanowisku lojalności, na którem możemy więcej otrzymać, niż wszyscy inni, badać trzeźwo istniejące warunki możliwości i w obrębie tych warunków brać, co się wziąć da. Na ten program sprowadziłem Gołuchowskiego i przeprowadziłem pomiędzy nim a hr. Belcredim porozumienie. Dotychczas obadwa ci panowie rozmawiali z sobą tylko przezemnie, — a dopiero w poniedziałek wraca Gołuchowski z Baden do Wiednia i będzie już mówił z Belcredim bezpośrednio i na podstawie spodziewanej nominacyi na Namiestnika; która także już jest z Belcredim załatwiona."

Pochwał hr. Gołuchowskiemu Kaczkowski przy tej sposobności nie szczędzi. „Zapatruje się on — powiada — na interesa kraju równie rozsądnie, jak uczciwie, a w kierunku narodowym idzie o wiele dalej, niżeli w chwili dzisiejszej z nadzieją pewnego skutku iść można." „Stoi na stanowisku — dodaje w innem miejscu — czysto polskiem i na każdym kroku pamięta o tem, że go teraz opinia publiczna powołała do służby, z której przed nią ma zdać rachunek... Ma przytem ten wielki rozum, iż nie decyduje stanowczo o rzeczach, których nie jest pewnym i umie słuchać zdania ludzi specyalnych — a w swoim zakresie ma nadzwyczajny trafny pogląd i sąd i stanowczość i będzie miał niezawodnie pożądaną energię."

Podaje też Kaczkowski warunki, pod jakimi hr. Gołuchowski decydował się objąć stanowisko Namiestnika. Zrazu, na pierwszem miejscu była nominacya Kanclerza dla Galicyi z siedzibą w Wiedniu. Od tego warunku wszakże odstąpiono, bo jak czytamy w liście Kaczkowskiego z d. 31 sierpnia 1866 r., w memoryale, złożonym Belcrediemu przez Gołuchowskiego, głównymi warunkami były: 1. Zniesienie podziału Galicyi. 2. Oddalenie pięciu urzędników na-

[1]) Ze zbiorów Tad. Smarzewskiego.

tychmiast, a to: Summera, Moscha, Wolfarta, Henna, Englischa. 3. Przyjęcie zaproponować się mających dalszych takich dymisyj. 4. Wolność dla Gołuchowskiego przerzucania urzędników z miejsca na miejsca. 5. Zniesienie żandarmeryi (usunięcie wpływów wojskowych od Administracyi). 6. Reorganizacya wychowania publicznego i natychmiastowe zorganizowanie ufundowania gimnazyów polskich. 7. Używanie języka polskiego w całej Administracyi wewnętrznej. 8. Przeprowadzenie katastru. 9. Przeprowadzenie serwitutów. 10. Ułożenie systematycznego postępowania względem Rusinów, wspólnie z Belcredim.

„Inne kwestye — pisze Kaczkowski — nie wchodzą w obręb władzy Namiestnikowskiej, ale będziemy i o nich mówić, jako o desideratach kraju, i spodziewać się można, że jakąkolwiek utworzą organizacyę dla Państwa, Sejm galicyjski otrzyma zakres działania najobszerniejszy, jaki w obrębie nowej konstytucyi otrzymać będzie można.“

Złożenie owego memorandum przez hr. Gołuchowskiego, z warunkami przytoczonymi powyżej, „było tylko — jak twierdzi Kaczkowski — dopełnieniem formy, bo te warunki ja już przed tygodniem umówiłem z Belcredim“.

Wśród tych rokowań, „pomiędzy kwestyami przyszłości, które się wszelako już dzisiaj omawia i obrabia, jest także — jak donosi Smarzewskiemu Kaczkowski — kwestya Marszałkowska na przyszłe sześciolecie“. — „Gołuchowski — pisze dalej, — zapytany przezemnie, kogoby uważał za najstosowniejszego na Marszałka, odpowiedział mi, że to jest rzecz, nad którą jeszcze nie myślał, lecz wymieniając nazwiska, pomiędzy pierwszymi Ciebie wymienił.“

W dalszym jednak ciągu powiada Kaczkowski, że na stanowisku Marszałka chcianoby mieć kogoś z wielkiem nazwiskiem i wielkim majątkiem i że prawdopodobnie Marszałkiem zostanie Adam Potocki, przyczem rzuca myśl, aby Smarzewski zajął stanowisko wice-marszałka i zapewnia, że w obu kierunkach, t. j. z jednej strony w obec Belcrediego i innych sfer rządowych, z drugiej zaś u Gołuchowskiego mógłby mu utorować drogę. Zapytuje więc otwarcie i prosi o odpowiedź, czy Smarzewski „poszedłby zgodnie i chętnie jako Wice-marszałek z Adamem Potockim, jako marszałkiem?“ Co odpowiedział na to Seweryn Smarzewski, nie wiemy lecz, jak wiadomo, kombinacya ta upadła i Marszałkiem krajowym po ustąpieniu ks. Leona Sapiehy, został nie Adam, lecz Alfred hr. Potocki.

Wówczas to także powstała w głowie Kaczkowskiego myśl objęcia „Czasu“. „Sprawa ta — pisał — z Kirchmayerem jest prawie ułożona, a Ad. Potocki będzie ją, jak sądzę, popierał. Ale są trudności godne zastanowienia się, których wcale przed sobą nie taję. Jest ich dwie: Jedna leży w mojej niepopularności, która jest tak donośna, że może sama z siebie zabić dziennik, — a druga w rachunkach, które wykazują deficyt roczny około 5000 fl., a jeśli zechcę poprawić redakcyę dziennika, wyniosą przynajmniej 15.000 fl. Przeciwko pierwszemu złemu mógłbym użyć tego środka, że przejęcie dziennika przeprowadziłbym bez żadnych ogłoszeń imiennych, a natomiast wlałbym w to martwe ciało tyle patriotyzmu, ruchu i życia, ile tylko można, ażeby czytelników ściągnąć. Nie osiadałbym nawet z tego powodu w Krakowie, tylko zorganizowałbym na nowo redakcyę i pisałbym potem z Paryża, przyjeżdżając do Krakowa tylko w czasie sejmów lub innych wielkich okazyi. Imienne zresztą ogłoszenie się w roli naczelnego dyrektora dziennika uważam dla siebie i będę uważać dopóty za niestosowne, dopóki mi się zdaje, iż w danych okolicznościach mógłbym zająć jakieś inne stanowisko, z dziennikarstwem niezgodne. Przeciwko drugiej trudności mógłbym użyć tego, jak sądzę, wcale godziwego a nawet dla kraju pożytecznego środka, iżby Belcredi zabił „Krakauer Zeitung“ i kazał zamieszczać w „Czasie“ inseraty rządowe i sądowe, które przynoszą dziś między 10 a 12.000 fl., a które Gołuchowski, który znowu „Lemberger Zeitung“ zabije“, mógłby jeszcze pomnożyć. Obowiązków ztąd żadnych. Gdyby się rzecz ta udała, t. j. gdybym cyfrę abonentów tylko o 1000 pomnożył, na co tem pewniej liczyć można, ileże wielkie europejskie przewroty oczywiście dopiero się zaczynają, a w nich na wszelki wypadek kwestya polska musi wypłynąć na wierzch, — to możnaby mieć z „Czasu“ kilkanaście tysięcy fl. dochodu. Bardzo jeszcze będę się zastanawiał, nim na to się zdecyduję.“

Takie to plany snuł Kaczkowski w obec objęcia rządów w Galicyi przez Gołuchowskiego i czując się umocnionym na stanowisku przy Belcredim. Z całą też stanowczością pisał do Smarzewskiego: „Co zas do Belcrediego, to mogę Ci z całą pewnością siebie powiedzieć, że w sprawach galicyjskich moje zdanie jest decydującem.“

Tak było w r. 1866. Zmieniło się to jednak z upadkiem Belcrediego w początkach następnego roku, w którym Kaczkowski znalazł się znów na bruku paryskim, ale już z ustaloną pozycyą tak w sprawach publicystycznych, jak i dypłomatycznych.

Polemizując z owym ustępem we „Wspomnieniach“ ks. Leona Sapiehy, ustępem, który go widocznie mocno zabolał, — Kaczkowski, nie znając jeszcze w całości jego treści, przyznaje w liście do pani Jadwigi Liskowej [1], że w latach 1866 do 1878 „miał niejednokrotnie sposobność interweniowania w sprawach takich, któremi zawiaduje Ministerstwo spraw zagranicznych“. „W tych czasach — pisze, — gdziekolwiek czas jakiś mieszkałem w Wiedniu, w Paryżu, w Londynie i w Rzymie, żyłem przeważnie w sferach dyplomatycznych, gdzie miałem zawsze bardzo wielu przyjaciół, — stąd poszło, że w kwestyach takich, które z powodu swej delikatnej natury nie mogą być załatwione na drodze urzędowej, proszono mnie nieraz o interwencyę poufną, bo taka interwencya nic nie przesądza.“

W dalszym ciągu tego listu uchyla Kaczkowski nieco rąbka tajemnicy owych interwencyj poufnych. Zaznaczyliśmy już powyżej, że w r. 1866 Kaczkowski miał poruczoną sobie przez rząd francuski misyę do rządu austryackiego w kwestyi uniknięcia wojny z Włochami i że po rozbiciu się tej misyi, z własnej inicyatywy, czy też z namowy przyjaciół, jeździł jeszcze do Włoch. — Co do dalszych takich „interwencyj“ pisze Kaczkowski:

„W r. 1871 w czasie rozejmu pomiędzy Francyą a Prusami, miałem misyę od Thiersa do Beusta, w kwestyi stosunków Francyi do Belgii, na co Beust dał mi odpowiedź, którą zawiozłem do Wersalu: sprawa ta jednak nie pociągnęła dalszych skutków za sobą, bo Beust już był podkopany natenczas i nie miał żadnego wpływu. W roku 1875 załatwiłem zatarg pomiędzy Włochami a Austryą, który Andrassy przez swoją niezręczność wywołał, — ale wmieszałem się w tę sprawę z polecenia króla Wiktora Emanuela, który mnie znał z r. 1864 i 1866, a wreszcie i 1875, kiedy był w Wiedniu, ale nie z upoważnienia Andrassego; z którym zresztą od r. 1866 byłem na zimno i nie miałem bliższych stosunków. Nie wiem już, ile razy miałem do czynienia z tego rodzaju sprawami w Paryżu, Wiedniu, w Londynie i w Rzymie, — ...ale nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek miał jakąś specyalną misyę od Rządu austryackiego. Ministerstwo spraw zagranicznych proponowało mi wprawdzie w latach 1866—1870 rozmaite dyplomatyczne posady, ale nie przyjąłem żadnej, bo nigdy nie mogłem się zdecydować na poświęcenie mojej niezawisłości karyerze.“

---

[1]) z d. 16 maja 1894. Ms.

Poznawszy wreszcie w całej osnowie ów ustęp ze „Wspomnień“ ks. Leona Sapiehy, Kaczkowski protestuje jak najbardziej stanowczo przeciw zawartemu tam twierdzeniu, jakoby był agentem Ministerstwa spraw zagranicznych i że jakoby wówczas wydawał pismo w tym celu, ażeby zamaskować swoje polityczne czynności w duchu przeciwnym.

„X. Leon — pisze — nie powiada, jakie to było pismo. i naturalnie. bo gdyby je wymienił, toby się zaraz wydał fałsz jego podania. Otóż ja Pani powiem. Kiedy się zaniosło na wojnę rossyjsko-turecką. ja i wielu moich przyjaciół, przeważnie cudzoziemców, Węgrów, Turków. Anglików i Francuzów, bo Polacy dopiero później przystąpili do tej sprawy, byliśmy zdania, że trzeba Austryę wciągnąć w wojnę z Rossyą, i w tym celu rozpoczęliśmy odpowiednie czynności. Ponieważ zaś te czynności koncentrowały się w Wiedniu. więc potrzeba było do tego mieć dziennik. a to tem bardziej. ileże Andrassy był stanowczo wojnie przeciwny. a nietylko w Węgrzech. ale i w Wiedniu był w opinii publicznej dość silny prąd za obroną Turcyi i za wojną przeciwko Rossyi. Ale na dziennik nie było pieniędzy, bo główni agitatorowie za tą sprawą. a mianowicie: Midhat Pasza, Johnston-Butler, hr. Breda. generał Klapka i inni. działali każdy na własną rękę i nie byli zorganizowani, a zatem i kasy nie mieli. Ponieważ zaś ich schadzki odbywały się u mnie i wszystkie ich czynności opierały się o mnie i ja poddałem im tę myśl. że trzeba mieć dziennik. więc uważałem niejako za mój obowiązek tę myśl wykonać i wtedy kupiłem za moje własne pieniądze, chociaż dla ostrożności pod cudzem nazwiskiem. dziennik „Morgenpost“, który dawnemi czasy miał bardzo wielu abonentów, ale wtenczas był znacznie podupadł — i w tym dzienniku atakowałem politykę Andrassego w taki sposób. w jaki go jeszcze żaden opozycyjny dziennik nie atakował, jakoż gdyby wtenczas. a nawet jeszcze i dzisiaj ktoś powiedział, że ten dziennik był tylko maską jakiejś czynności Andrassemu przychylnej, toby go wszyscy wyśmieli.“

W dalszym ciągu tego listu zbija Kaczkowski twierdzenie ks. Leona. jakoby on pobierał 10.000 fl. z Ministerstwa spraw zagranicznych. „Przecież — powiada — wiedeńskiego dziennika nie można kupić za trzy grosze („Morgenpost“ kosztowała mnie 27.000 guldenów). a wydawanie takiego codziennego pisma. które się nie rentuje. kosztuje daleko więcej rocznie niżli 10.000 guldenów. gdyby zatem to, co powiada (ks. Leon) było prawdą. to wynikałoby ztąd. żem zaliczył z górą 38.000 guld. (kaucya wynosiła 6000

guld.) i dokładał co roku kilkanaście tysięcy guld., aby zamaskować pensyę wynoszącą tylko 10.000 guld. To ze strony materyalnej tego przedsiębiorstwa. Co się tyczy strony moralnej, to przecież było powszechnie wiadomo, że do „Morgenpost“ pisywali: Artur Gołuchowski, Ludwik Skrzyński, Seweryn Smarzewski i wielu innych, a ci wiedzieli z pewnością, jaki był cel tego pisma, inaczej byliby w niem udziału nie brali“

„Morgenpost“ przeszła w posiadanie Kaczkowskiego w pierwszych miesiącach 1877 r. Przeszła bez rozgłosu, bo Kaczkowski — jak to wyraźnie pisze do Agatona Gillera[1]) — obawiał się, by Polacy nie wymagali bezwzględnego zastępstwa polityki polskiej. „Morgenpost“ — pisze dalej — ma obecnie tylko 6000 abonentów. Mogłoby to się stać później, gdy dojdzie do 20.000 egz. Jest stanowczo przeciw Moskwie, a tem samem za Polską. Jest to dziennik, jedyny w Wiedniu, zupełnie niezawisły, — w opozycyi przeciwko wszystkim Ministrom i Ministerstwom obecnie u steru. Jest liberalny, ale się nigdy nie stanie federalistycznym, może przemawiać za rozszerzeniem wolności Polakom, a nawet — w danym razie — za usamowolnieniem Polski, ale nigdy się nie postawi po stronie Czechów. Moje osobiste stosunki tu i za granicą wystarczają, aby mieć wyjątkowe informacye, jakich żaden inny dziennik nie ma.“

W następnym liście do Gillera[2]) podnosi wielki alarm, z powodu, że „Dziennik Polski“ rozgłosił, jakoby „Morgenpost“ została zakupiona przez Polaków i stała się organem spraw polskich. „Sprawiło to — pisze — najfatalniejsze wrażenie. Napływają reklamacye od abonentów, „Dziennik Polski“ pięknie się przysłużył sprawie polskiej, o ile ona mogła istotnie znaleźć jakiekolwiek poparcie w „Morgenpost“. Ani Czartoryski, ani Czerkawski nie mają żadnej styczności z „Morgenpost“. To zamach — woła — na życie dziennika!“ Zarządził natychmiast zaprzeczenie we wszystkich dziennikach wiedeńskich. Czuje się tem jednak „kompletnie sparaliżowany“ w popieraniu spraw polskich, i będzie chyba musiał wystąpić w kilku artykułach przeciw tym, albo owym tendencyom polskim, aby podejrzenia wykorzenić. „Lepiej — dodaje — zażyć gorzkie lekarstwo i ozdrowieć, niżli ciągle chorować“.

Oprócz tej wzmianki we „Wspomnieniach“ ks. Leona Sapiehy, jakoby Kaczkowski był agentem tajnej policyi politycznej,

---

[1]) List z 24 kwietnia 1877. Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.
[2]) z 10 maja 1877. Tamże.

płatnym z Ministerstwa spraw zagranicznych, równie dotkliwie zabolały go słowa o „nieszczególnej reputacyi“ i o przejściach z r. 1863, zdawało się, już zupełnie zapomnianych.

„Podanie X. Leona“ — pisze do p. Jadwigi Liskowej — jakobym nie miał dobrej reputacyi, dowodzi tylko, jak był dla mnie usposobiony, bo przecież sam dodaje, że w te rzeczy nie wierzy“. Badając powody złego usposobienia ks. Leona dla siebie, przypomina w tych listach, że w r. 1866 miał z nim niemiłe zajście, z powodu budowy kolei ze Lwowa do Tarnopola i do Brodów. Wówczas to Kaczkowski miał interweniować u Belcrediego i ministra Beckego w sprawie wynagrodzenia Borkowskiego Seweryna, który własnym kosztem trasował tę linię, a koncesyi na budowę nie otrzymał. Drugim powodem złego usposobienia ks. Leona Sapiehy, miało być to, że książę był przeciwny kandydaturze hr. Gołuchowskiego na Namiestnika, energicznie popieranej przez Kaczkowskiego.

„Nie wiem zresztą — pisze on — jakie tam jeszcze pretensye X. Leon mógł mieć do mnie, ale to wiem z pewnością, że wówczas w owe podejrzenia, rzucone przeciw mnie w r. 1863, nie wierzył, bo sam mi to mówił. Zresztą, gdyby był wierzył, to byłby mi przecież ręki nie podał, a byłem z nim przez całą pierwszą połowę r. 1866 w jak najlepszych stosunkach [1]).

Że stosunki te jeszcze później były dobre, świadczy własnoręczny list ks. Leona Sapiehy, do Kaczkowskiego pisany ze Lwowa dnia 5 lutego 1867 r., w którym zaznaczywszy, że rządy hr. Belcrediego będą „dla nas pamiętne“, że „były one pierwszą chwilą swobody, którejśmy zakosztowali od 100 lat“, że „dały nam one zarazem sposobność odparcia wiecznego zarzutu, iż jesteśmy anarchistami, których tylko przemocą w karbach utrzymać można“, że „zachowa dla niego zawsze wdzięczność i poważanie“, jako dla tego, który „był może na nasze czasy za mało Ministrem, a zanadto uczciwym człowiekiem“, — taką wyraża prośbę, do Kaczkowskiego skierowaną:

„Bliski środka, przywykły do uważania, możesz Pan prędzej, niż każdy inny, wiedzieć lub przynajmniej wnioskować o naszej przyszłości. Bardzo bym był wdzięczny, gdybyś zechciał mi swoje zapatrywanie udzielić.“

List ten kończy ks. Leon „wyrazami prawdziwego szacunku“.

---

[1]) List do pani Jadwigi Liskowej z d. 24 kwietnia 1894. Ms.

W obec tego trudno zrozumieć, jakie powody skłoniły ks. Sapiehę do zamieszczenia przytoczonego powyżej ustępu we „Wspomnieniach“ swoich, ustępu, który podrażniwszy dawną ranę, mocno dotknął Kaczkowskiego. Lecz on, wypisawszy całą swą gorycz w sążnistych listach do pani Liskowej, postanowił „w tę pamiętnikową sprawę nie mieszać się zgoła“.

Mógł też sobie już w r. 1867 powiedzieć, że pomimo spiętrzonych trudności, pomimo ciążącej mu ciągle na duszy i ścigającej go niemal do grobu „sprawy z r. 1863“. — zdołał „przebić się“ i wypłynąć ponad zwykły poziom. Uzyskał znaczenie publicystyczne i w sferach dyplomatycznych wpływy; uzyskał nawet materyalny dobrobyt. Ale to wszystko nie było snadź w stanie zadowolić pragnień duszy, bądź co bądź, tułacza. Chwilami napadało go zniechęcenie, które szczególniej odczuł po upadku hr. Belcrediego, a zatem po upadku własnego przy nim znaczenia.

„Mnie się nudzi fatalnie — pisał z końcem 1867 r. do Seweryna Smarzewskiego [1]). — Całe życie przyzwyczajony gonić jakąś stałą pracą do jakiegoś pewnego celu, osiadłem teraz na bruku, bez pracy i bez celu. Jeszcześ w poprzednich latach miałem jakąś troskę na głowie, troskę o chleb codzienny i o zapewnienie sobie przyszłości. Teraz i ta troska mi już ubyła — i znajduję się w położeniu, w którem wcale nie umiem się znaleźć. Za ubogi, ażeby pójść między kapitalistów, za bogaty, aby być przymuszonym do jakiejbądź pracy, za młody, aby na jakiejś bezczynnej *petite existence* poprzestać, za stary, ażeby piewszą lepszą karyerę rozpoczynać na nowo, jestem czemś niepodobnem do niczego — i nieraz już mi się zdaje, jakobym był wcale zbytecznym na świecie. Od czasu, jak kraj uznał za rzecz stosowną nie dać mi miejsca na Sejmie, choćby krzesła poselskie musiał obsadzać Cywińskimi i Torosiewiczami, zważywszy wszystkie stosunki i okoliczności, zawsze miałem jakieś ciemne przeczucie, iż trzebaby mi szukać jakiegoś stanowiska pośredniego i pośredniczącego, bo tylko takie byłoby dla mnie dostępne.“

Takiem pośredniem i pośredniczącem stanowiskiem byłoby, zdaniem Kaczkowskiego, wydawanie dziennika polskiego, jeżeli nie w kraju, to w Wiedniu. Marzył ciągle o tem. Jak już zaznaczyliśmy, chciał w r. 1866 nabyć „Czas“ krakowski od Kirchmajera

---

[1]) List z d. 23 grudnia 1867. Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

i ofiarowywał — jak twierdzi w liście do Agatona Gillera[1]) — 50.000 złr., „ale — dodaje — arystokracya, otaczająca go (Kirchmajera), wtenczas nie dopuściła do dobicia targu. Później, kiedy „Czas“ przeszedł w ręce Tarnowskiego i Sp., ponowiłem ofertę, ale także mi odmówiono. Śród tego czasu chciałem wzmocnić dzienniczek polityczny lwowski, który się znajdował w rękach Jasińskiego, Gromana i Smolki i dałem im był 6000 guld. na kaucyę[2]). — Ale pismo to wkrótce potem upadło. Inne usiłowania także spełzły na niczem. W końcu chciałem założyć dziennik polski w Wiedniu, ale nie mogłem znaleźć takich wspólników, którzyby byli nie wymagali obrony Syllabusa i Encykliki i przyjaźni z niedobitkami drobnych narodowostek słowiańskich.“

O wydawnictwie polskiego dziennika w Wiedniu nie przestawał wszakże marzyć. I już w roku następnym, dowiedziawszy się od niejakiego p. Krypiakiewicza, rusina, który z polecenia Gillera odwiedził go w Wiedniu, że „Jan Dobrzański jest zużyty i zmęczony i byłby kontent, gdyby znalazł kupca na „Gazetę Narodową“, oświadcza gotowość nabycia tego pisma, „jeżeliby Dobrzański chciał je sprzedać tanio i pod dogodnymi warunkami wypłaty, jeżeliby dziennik mógł być przeniesiony do Wiednia, i jeżeliby Giller chciał się z nim także przenieść“. Prosi Gillera, aby ostrożnie wybadał w tym względzie Dobrzańskiego i zawiadomił Kaczkowskiego o rezultacie. W końcu zapytuje: „A może korzystniejszem byłoby założenie w Wiedniu nowego dziennika i czy Pan miałby ochotę objąć jego redakcyę?“

Taki dziennik polski, wydawany w Wiedniu, miał zamiar Kaczkowski „przyczepić do którego z tamtejszych wielkich dzienników, do „Starej Presse“, albo „Tagblattu“. W ten sposób organ polski miałby od razu „bardzo wielką drukarnię, wszystkie dzienniki i depesze, sprawozdania z giełdy, targów i telegraf pod ręką“. — Myślał także, jeszcze przed tem, o założeniu w Wiedniu dziennika francuskiego. W tym celu wszedł w układy z „Centre gauche“ i ofiarowywał sam na to 100.000 fr., żądając od subskrybentów tylko 200.000 fr., ale tych subskrybentów znaleźć nie mógł.

Nie zrażając się jednak trudnościami, myślał ciągle, do ostatnich niemal czasów, o założeniu w Wiedniu polskiego dziennika.

---

[1]) List z d. 14 grudnia 1873. Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.

[2]) Jest tu mowa prawdopodobnie o „Dzienniku Lwowskim“, organie demokratycznym, którego redaktorem był w r. 1870 Karol Groman, następnie Karol Widmann, a wreszcie Tadeusz Romanowicz, właścicielem zaś był Franciszek Smolka.

któryby „nie kumał się z Czechami, Morawianami i Słoweńcami. i nie zniżał się do narodowości drugiego i trzeciego rzędu“, bo — dodawał — „jeżeli Polska ma zginać, to niechaj zginie jako naród pierwszorzędny“.

W r. 1882 pisze z Ragatz do znanego literata Rzążewskiego. używającego pseudonimu: Aer [1], z zapytaniem, czy nie mógłby nasunąć Asnykowi myśli przeniesienia „Reformy“ do Wiednia, przyczem przedstawia materyalne korzyści takiej translokacyi, wypływające z pomnożenia prenumeraty i opłat insercyjnych.

I jeszcze w r. 1888 pisał do p. Adolfa Władysława Inlendera. znanego publicysty, a podówczas korespondenta paryskiego „Figara“: „Bardzo Panu dziękuję za wiadomość o „Gazecie Narodowej“. Zapewne, że gdyby ją można tanio nabyć i przenieść do Wiednia, to możnaby w tem podwójny znaleźć rachunek, ale zkąd wziąć takiego redaktora. któryby ten dziennik prowadził w stylu europejskim i utrzymywał na takiej wysokości, ażeby wszystkim polskim dziennikom przodował? Ja go nigdzie w Polsce nie widzę. Był niegdyś Gumplowicz [2], ale ten już się osiedlił w Gracu i stamtąd się nie ruszy. Jeżeli Pan znasz jakiegoś kandydata z odpowiedniem ukształceniem i politycznem doświadczeniem, to chciej mi Pan donieść jego nazwisko.“ [3])

Do tej więc myśli nieustannie powracał; nęciła go widocznie pokusa rozpoczęcia na nowo pracy publicystycznej, w której, jak zresztą sam pisał w przytoczonym liście do Rzążewskiego, miał wieloletnie doświadczenie, nabyte w Wiedniu. we Francyi i Anglii. Na dowód przytacza też w tym liście, że był swojego czasu właścicielem starej „Presse“ i „Morgen-Post“ w Wiedniu. współzałożycielem „Pall Mall Gazette“ w Londynie, współwłaścicielem „Journal de Paris“ i „La Semaine française“ w Paryżu. „Wszystkie te przedsiębiorstwa — dodaje — traktowałem tylko ze stanowiska przemysłowego.“ — I musiało mu się to stanowisko opłacać, bo na niem, a zapewne także dzięki szczęśliwym operacyom finansowym, zdobył znaczny, bardzo znaczny majątek.

W sprawie założenia dziennika polskiego w Wiedniu radził się oczywiście Kaczkowski przedewszystkiem przyjaciela swego.

---

[1]) List z d. 25 sierpnia 1882. Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.

[2]) Dr. Ludwik Gumplowicz, zmarły przed laty profesor Uniwersytetu w Grazu.

[3]) Z listu, udzielonego mi łaskawie przez p. Adolfa Władysława Inlendera. Ms.

Seweryna Smarzewskiego, przedstawiając mu wszystkie materyalne i moralne korzyści, mogące wyniknąć z tego przedsięwzięcia. Zebrał daty z redakcyj wiedeńskich i z nich przekonał się, że Galicya abonuje 5 do 6000 egz. dzienników niemieckich. Gdyby zatem tylko połowę, gdyby można tylko jedną trzecią część tych dzienników wyparować pismem polskiem, to pismo to mogłoby się tem pewniej utrzymać, że Kaczkowski miałby od razu te wszystkie materyalne korzyści i udziały, pochodzące z anonsów i przedsiębiorstw finansowych, jakie mają wielkie dzienniki wiedeńskie. Wszystkie przytem wiadomości z Zachodu przynosiłby najwcześniej. Konkurencya z takim dziennikiem byłaby niemożebną, bo nawet żydzi musieliby go trzymać, dla samych kursów i cen targowych. Moralna zaś strona takiego wydawnictwa „leży jak na dłoni", bo jużci nie mogłoby być rzeczą obojętną dla kraju mieć swój organ pod bokiem rządu centralnego w Wiedniu, i organ taki, z któregoby wszystko przechodziło natychmiast w dzienniki niemieckie, francuskie i t. d., czego dostateczną gwarancyą byłyby osobiste stosunki Kaczkowskiego z dziennikarstwem europejskiem. Najważniejszą zaś rzeczą co do moralnego znaczenia, jest — zdaniem Kaczkowskiego — niemal zupełna „nicość" galicyjskich dzienników. I tu następuje bardzo ostra lecz humorystyczna zarazem ich krytyka. „Gazeta Narodowa" — pisze — przypomina mi psa, którego leśniczy ciągnie na smyczy za sobą, nie chce mu się iść na zająca, bo całe życie kury łapał na dziedzińcu, wyje więc, kręci się, ogląda się na leśniczówkę — ale idzie. A „Czas" znowu jest, jak pies, w budzie schowany: nie zgadza się on z większością reichsratową, z początku szczekał głośno, potem ciszej, aż nareszcie sprzykrzyło mu się, więc wlazł sam do budy i już tylko czasem burczy na Reichsrat — w kronice miejscowej. „Dziennik Lwowski" zaś, to szczeniak, który jeszcze gonić nie umie, a nawet kąsa nie boleśnie, jeszcze go nikt na polowanie nie bierze, boby więcej zwierza napłoszył, niżeli nagonił."

Zarzuca w dalszym ciągu, że żaden z tych dzienników nie ma jakiejś idei, ani pojęcia o tem, co czynić i jak postępować należy, — „co najwięcej potrafi zganić to, co zrobiono." „Ja — dodaje — mam w każdej kwestyi krajowej i narodowej moje bardzo jasne przekonania — i sądzę, że wypowiedziałbym bardzo wiele rzeczy takich, które w krótkim czasie zyskałyby znaczną większość opinii za sobą. Rozumie się zresztą samo z siebie, iż nie szukałbym żadnych spółek pieniężnych, tylko sam wziąłbym

wszystko na siebie. Potrzeba na to 40 do 50.000 fl. *Vogue la galère.*" [1])

Z następnego listu Kaczkowskiego [2]) wynika, że Smarzewski odradzał mu wydawnictwa polskiego dziennika w Wiedniu, zalecał raczej ogłaszanie od czasu do czasu broszur, a dotknął także kwestyi osobistych „niechęci". Kaczkowski dziękuje wprawdzie za szczerość wypowiedzianego zdania, lecz przekonać się nie daje, utrzymując stanowczo, że dziennik polski w Wiedniu jest koniecznie potrzebny i niezawodnie by się utrzymał. Lekkomyślnie wszakże nie postąpi i zanim co postanowi, dobrze się ze wszystkimi realnymi warunkami obliczy na miejscu, w Wiedniu.

W sprawie osobistych nieprzyjaźni i niechęci pisze z nietajoną goryczą, nieledwie z rozpaczą:

„Nie zapomnę także o owych osobistych niechęciach i nieprzyjaźniach. Czasem — a teraz coraz częściej — mija po kilka miesięcy takich, w których mnie ten dźwięk wcale nie dochodzi. Wtedy zapominam całkiem o tej diabelskiej orkiestrze. Mam dosyć umysłowego zajęcia i moja przeszłość jest w inne wypadki i myśli zanadto bogatą, ażebym musiał koniecznie od czasu do czasu usiadać na tem wężowisku, płynącem żółcią i jadem. Otóż jak mi się ten dźwięk znowu odezwie, to chociaż nie mogę powiedzieć, że „marzyłem cudnie", jednak muszę wykrzyknąć: „srodze mnie zbudzono". I porywają mnie wtedy takie uczucia, których niepodobna opisać. Z niecierpliwości, że tak jest, miotam się przez chwilę, jak człowiek pragnący spokoju, któremu brzęcząca osa ciągle w nos uderza. Potem znowu się uspokajam i myślę: czemuż choć na chwilę nie mogę się stać szklanym, ażeby już raz we mnie zajrzano. Spojrzeliby i pospuszczawszy ogony, poszliby sobie, — a jabym miał spokój na zawsze. Ale może i nie. Bo wtedy ujrzeliby także, co ja o nich myślę — i znowuby mnie nie cierpieli. Więc kiedy tak niedobrze, to niechby piorun uderzył ze mnie lub koło mnie. Są czasem czyny, które oświecają tak silnem światłem człowieka, iż można go przejrzeć na wskroś, — i są czasem wypadki, wśród których postawiony człowiek staje się przejrzystym. Ale tem także rozporządzać nie można. Cóż więc robić? Trzeba czekać — czekać i pokutować, dopóki odkupienie nie przyjdzie. A tymczasem robić co można, mierząc uczynki nie wyrazem tych

[1]) List z Paryża, z d. 23 grudnia 1867 r. Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

[2]) z Paryża, z d. 23 stycznia 1868 r. Tamże. Ms.

tysiąców wykrzywionych twarzy, które się odwróciły odemnie, ale tem uczuciem i przekonaniem, które zawsze mnie prowadziły, a które nie na złej, ale na dobrej szali zaważą kiedyś przed Bogiem.“

Pragnął widocznie jakiegoś czynu, jakiejś pracy, pożytecznej dla kraju. „To nie o to idzie — dodaje — ażeby dziennik wydawać, ale ażeby coś robić.“ Myśl pisania broszur nie bardzo mu się podoba. Nawet w Paryżu broszury się nie rozchodzą, chyba, że je wydaje Thiers, Dupanloup, albo Montalembert. „U nas — powiada — trzebaby broszury darmo rozrzucać, — a to byłoby mi wstrętnem. Wiesz, że nigdy nikomu się nie narzucałem, — a cóż dopiero szanownej publiczności. Ta — dodaje z dumą — musi mnie szukać; ja jej szukać nie będę: mogę tylko powiedzieć, gdzie mnie szukać powinna. Prócz tego częste odzywanie się broszurami nie wiem, czyby odpowiadało mojemu pisarskiemu usposobieniu. Mogę pisać artykuły codzień, albo od czasu do czasu xiążki, pierwsze bez nastrajania się, drugie przygotowawszy się do nich, — ale nastrajać się co kilka tygodni, to mi się zdaje nudną i męczącą robotą. Zresztą, nie wiem, trzebaby spróbować.“

W tymże liście, pisanym widocznie w pesymistycznym nastroju, jest także bardzo ostra krytyka literatury współczesnej. Wybitnego nic w niej niema. Podejmuje się „kilkoma robotami feuilletonowemi wziąć nad tem górę na arenie publicznego rozgłosu“. „Ale nie wiem — dodaje, — czy mnie, „pisarzowi, należącemu do ubiegłej epoki“, wypada jeszcze poniewierać się po feuilletonach? Możnaby i xiążki drukować. Od dziś za sześć miesięcy mógłbym wydać 7 do ośmiu tomów. Mam 6 tomów niewydanych, a na 2 tomy materiałów prawie gotowych.“ Dzisiaj jednak nie wie na pewno, co i jakby potrafił jeszcze napisać. „Przez wiele lat — dodaje — nie czytałem po polsku. Ze starych xiążek mało której nie miałem w ręku, nowych dotknąłem się kilka razy w ostatnich latach, lecz nigdy nie mogłem doczytać do końca. To literatura, womitująca nieprzetrawione dawniej szczątki pożywienia — i sprawiająca womity. Kraszewski stoi na jej czele. Ci ludzie okradają sami siebie, jeżeli mogą, a jeśli nie, to okradają drugich. Nigdy kradzież literacka tak nie kwitnęła u nas, jak teraz. Posuwa się ona do bezczelności takiej, której chyba tylko Offenbach może jeszcze służyć za mistrza. Szczytem zaś tej nowej metody tworzenia są Kraszewskiego „Hybrydy“ — żywcem wzięte z Turgeniewa i to wtedy, kiedy na oryginale druk jeszcze nie zasechł.“

Przy końcu tego istotnie „zjadliwego“ listu, wywołanego niechybnie ową wzmianką Smarzewskiego o „osobistych niechęciach i nieprzyjaźniach“, co go zawsze do żywego dojmowało, zastanawia się Kaczkowski nad pytaniem. czy w ogóle warto teraz cokolwiek pisać i wydawać. „Nie zdaje mi się — powiada, — żeby to był czas po temu. Najpierwej nie mogę jakoś oswoić się z myślą drukowania rzeczy literackich li tylko dla Galicyi i Poznania. Nie byłem nigdy prowincyonalnym pisarzem, - co gorsza, pisząc, miałem Galicyę i Poznańskie tylko jako annexa na oku. Pisywałem dla Polski. Drukować dzisiaj coś dla tych annexów, gdzie nigdy nie miałem odpowiedniej popularności i zkąd mnie nie dochodzi żadna zachęta. — jest mi prawie niemożebnem.“

Chybaby na drodze „biograficzno-literackiej możnaby dzisiaj napisać parę rzeczy zajmujących i ciepłych“. — „Ja — dodaje — znałem Krasińskiego i Mickiewicza osobiście i obcowałem z nimi już jako pisarz dosyć znany, a więc niejako niby brat cechowy. choć młodszy i mniejszy: znam cały zastęp ludzi. którzy w najbliższych żyli stosunkach z Słowackim; lecz co ważniejsze, jako pisarz wychowałem się cały tylko w atmosferze, stworzonej przez nich i upajałem się nią wiecej, niż potrzeba. Mógłbym więc o samych rozmowach moich z nimi bardzo ciekawe podawać rysunki. — a jakże zajmująca rzecz mógłbym napisać choćby nawet tylko o świeżo co zmarłym Karolu Szajnosze? — Ale nie mam przekonania, ażeby te rzeczy mogły interesować wielką publiczność, zdaje mi się. że zajmują się niemi tylko literaci i jakaś cząstka młodzieży.“

List ten, przepełniony goryczą i mocno niesprawiedliwą krytyką. kończy się wszakże ciepłą wzmianką o Szajnosze.

„Szajnocha tedy — czytamy w tym liście — skończył nareszcie fizycznie swój żywot, duchowo już od lat kilku skończony. Nasi ludzie umierają dziś tak, że nie można ich nawet żałować. a nawet niemal trzeba się cieszyć, że skończyli swoje męki doczesne Tak umarł Zamoyski. Tak Szajnocha. Bardzo zacnie sobie postąpiono, zamierzywszy utworzyć fundusz dla jego żony i syna. Jeżeli bowiem kto na nagrodę zasłużył. to ona, — a jeżeli jakiego chłopca trzeba starannnie wychować, to dziedzica takiego imienia.“

Wśród prac dziennikarskich. pomnożonych jeszcze w skutek założenia z jakąś spółką w Paryżu pisma p. t. „Correspondance du Nord-Est“ [1]). nie spuszczał z oka Kaczkowski rozmaitych przed-

[1]) List Kaczkowskiego do Sew. Smarzewskiego z Paryża, z dnia 22 stycznia 1868. Ze zbiorów Tad. Smarzewskiego. Ms.

siębiorstw przemysłowych, w których gorliwy brał udział. Między innemi interesował się mocno sprawą założenia w Krakowie wielkiej przędzalni i fabryki płócien i w razie, gdyby Smarzewski chciał wziąć na siebie zorganizowanie spółki, oświadczał gotowość przystąpienia z kwotą od 10—20.000 złr., a nawet i z większą, stosownie do warunków, wpłatą. Równocześnie zaangażowany był w przedsiębiorstwie francuskiem, mającem na celu budowę kolei z Fiume do Zemlina, wybudowanie portu w Fiume, założenie na Węgrzech Towarzystwa budowy kolei, kanałów, doków i. t. d. W celu zrealizowania tego wielkiego projektu bawił przez czas dłuższy w Wiedniu, gdzie prowadził w tym celu niezbędne rokowania. „To wszystko wymaga — pisze do Smarzewskiego [1]) — „bardzo skrzętnej czynności“. „Prócz tego — dodaje — stoję za plecyma Kirchmajera, jako pełnomocnik paryskiego „Comptoir d'Escompte do nabycia chociażby i wszystkich dóbr koronnych w Cislitawii. Zresztą w entreaktach bawię się Brestlowskimi planami finansowymi po dziennikach francuskich i niemieckich, — i jest to rzeczywiście niezwykła zabawka, chociaż zresztą także nie bez celu, bo im lepiej potrafię mu zatkać inne źródła, tem głębiej będzie musiał sięgnąć w źródło dóbr koronnych.“

W sprawie owej projektowanej kolei fiumańskiej jeździł Kaczkowski ze swymi spolnikami Belgijczykami do Pesztu, dowiedział się bowiem, że w tej sprawie „pobałamucił trochę Rotszyld na rachunek południowej kolei (Südbahn), która w tem nowem przedsiębiorswie widziała pewne niekorzyści dla siebie“. Okazało się jednak, że „kabały Rotszylda są bez znaczenia“, natomiast polityczne trudności pomiędzy Węgrami a Kroacyą wpływają w sposób utrudniający na to nowe przedsiębiorstwo. „W ogóle — pisze Kaczkowski do Smarzewskiego w liście, datowanym z Wiednia, 3 czerwca 1868 [2]) — rok ten finansowo wcale nie dobry dla mnie. Mam kilka większych interesów w ręku, z których korzyści mogłyby być znaczne, ale wszystkie się wloką jak najnieznośniej, tak, że trudno się spodziewać doprowadzenia którejkolwiek do likwidacyi jeszcze w tym roku. Ja jednak moim zwyczajem nie porzucam nadziei i żadnej z nich sam nie odroczę, skutkiem czego wypadnie mi zapewne w tym roku posiedzieć aż do jesieni, a może i cały rok przesiedzieć w Wiedniu.“

[1]) List z Wiednia, z d. 3 kwietnia 1868 r.
[2]) Ze zbiorów Tad. Smarzewskiego. Ms.

Konferował również w tym czasie z księciem Adamem Sapiehą. „Bardzośmy jeszcze — pisze — naprężeni względem siebie; ale to trudno; żadnemu z nas kark się nie ugina z łatwością. Wszelako były pomiędzy nami w negocyacyi rozmaite kombinacye w sprawie kolei Koszycko-Przemyskiej".

Naprężenie to istniało od czasu, gdy książę Adam Sapieha jako pełnomocny Komisarz Rządu Nar. miał sobie poruczone doprowadzenie sprawy procesu Kaczkowskiego, wraz z Majewskim i Ruprechtem, w Paryżu do końca. Że tak się nie stało, o to obwiniał Kaczkowski księcia Adama i żalił się na niego przed Smarzewskim jeszcze z końcem 1867 r. w tych słowach: „Ja byłem i jestem zdania, iż Xiążę, objąwszy urząd Komisarza Rządu Nar. powinien był albo mi otwarcie powiedzieć, że sądu nie zwoła, albo, przyrzekłszy, że go zwoła, przyrzeczenia dotrzymać, ale nie zostawić mnie pod kalumnią dopóty, aż póki się wszystko nie rozlazło i zwołanie sądu stało się niemożliwem. Gdybyśmy się byli znaleźli w położeniu odwrotnem, to jabym był nie jadł, nie spał i nie odpoczął dopóty, dopóki bym tej sprawy nie rozstrzygnął, a to tem bardziej, ile że tak samo, jak on o mnie, i ja o nim miałbym był przekonanie, że żadnej sprawy krajowej za żadne pieniądze nie sprzeda."

Obok spraw finansowych, które go pochłaniały, nie przestawał interesować się tem, co się w kraju dzieje, chociaż Galicyi od czasu do czasu ostrej krytyki nie szczędził. W r. 1868 notuje w liście do Seweryna Smarzewskiego, ze do Wiednia przybył hr. Gołuchowski. „Ażeby — pisze — dać dementi jakimś wieściom, — o których zresztą ja nic nie słyszałem — jakoby pomiędy nami zaszły jakieś chłody, przyszedł do mnie (do hotelu Erzherzog Karl) kiedyś wieczorem, wyprawiwszy żonę do Baworowskich, i przesiedział od ósmej do pół do dwunastej. Ogadaliśmy, ale nie obgadaliśmy wszystko i wszystkich, z czego się okazało, że z wyjątkiem ludzi, których nie cierpi, kontent jest z biegu rzeczy w Galicyi, i kontent także z Ziemiałkowskiego i z Dobrzańskiego. — I my także kontenci. Zawsze mu to mówiłem, iż to jego największe dzieło, że tak podruzgotał tych dwóch koryfeuszów".

Już w r. 1870, a za tem zaledwie w lat siedm po wyroku „banicyi", pozycya materyalna Kaczkowskiego uzyskała silną podstawę. Założył, wraz ze wspólnikami, których nie wymienia, bank w Paryżu, pod firmą „Banque des Provinces, société anonyme", i mógł myśleć nawet o zakupieniu znacznych dóbr w Galicyi, chociaż powrót do kraju przestał go już tak silnie, jak dawniej nęcić.

Oto co w tym względzie pisze do Seweryna Smarzewskiego w liście z Paryża d. 14 czerwca 1870 [1]) na firmowym papierze bankowym:

„Dawniej, kiedy roiłem sobie wrócić do kraju i mordować się z ludźmi, aby mi to powrócili, co mi odebrali niesłusznie, przychodziło mi często na myśl Dubiecko. To właśnie, czegoby w takim razie potrzeba. Majątek znany, odpowiednia siedziba, nieźli ludzie wokoło, w złym razie można żyć z tego, w dobrym, nie zawadziłaby taka rezydencya na lato. Ale chęć powrotu do kraju coraz mnie więcej opuszcza, a chęć przeniesienia się do Paryża coraz się wzmaga. Inny tu świat, inni ludzie — dla każdego, a cóż dopiero dla mnie, który tylko tu jestem bez opozycyi miany za uczciwego człowieka i tylko tu nie mam powodów ani do gorszenia się złością, ani do litowania się nad głupotą niektórych moich współbraci. Moralna strona naszej egzystencyi, wiesz ile znaczy, a to oprócz mojej osobistej, jest jeszcze i ogólna egzystencya moralna wcale inna niż wszędzie indziej, bo inny jest stopień ukształcenia serca i rozumu. Majątek, urzędy i godności dają wszędzie jakieś znaczenie, ale tu także daje znaczenie, jeżeli się w sferach ludzi uczciwych i ukształconych jest wszystkim równym i całym człowiekiem. Prócz tego koledzy moi w Banku, którego tytuł widzisz na tym liście, nie odstępują od postawionego przy założeniu Banku żądania, abym się tu przesiedlił i wziął czynność stałą, jako „Administrateur délégué“ z prawem prezydowania tej Instytucyi. Ofiarują mi za to podwyższenie ilości moich akcyi al pari i 10% od dochodu.“

O sytuacyi tego banku dodaje:

„Bank nasz rozwija się świetnie, do 15 bm. mieliśmy przeszło 83% zarobionego czystego zysku od całego kapitału, z interesów, jakie już mamy w ręku możemy się spodziewać, że do końca roku zarobimy cały nasz kapitał: rzecz niesłychana i tłumacząca się tylko tem, że cały nasz kapitał wynosi tylko 300.000 franków, ale położenie nasze jest takie, mamy w naszem gronie tyle energii i tyle stosunków w najwyższych sferach finansowych, że podnosząc nasz kapitał ciągle, kiedy dojdziemy do dwóch milionów albo i wyżej, zawsze jeszcze będziemy mieli ugruntowane widoki zarabiania przynajmniej połowy naszego kapitału co roku. Ja jestem bardzo ostrożny, mam pewien wstręt do wiązania się tego rodzaju z jednym Instytutem, chciałbym mieć zawsze jedną

[1]) Ze zbiorów Tad. Smarzewskiego. Ms.

nogę w Wiedniu, bo tam zarobek pewniejszy, ale widoki tutaj są ze wszystkich względów tak tentujące, że jeżeli tylko mi się uda zająć miejsce Verwaltungsratha w Vereinsbanku z tym warunkiem, abym większą część roku mógł siedzieć w Paryżu, to się tej tentacyi nie oprę. Jeżeli przeto uda mi się urzeczywistnić taką kombinacyę, abym sobie zapewnił przynajmniej 60 do 70.000 franków stałego dochodu z funkcyi, nie liczę tego, co mi przyniosą akcye obydwóch Banków i co jeszcze prócz tego mogę zarobić, to wobec tego myśl taka, aby w Galicyi osiadać, borykać się z zazdrością, głupotą i złością i jeszcze do tego na małem poprzestać, musiałbym stanowczo odrzucić."

Przewiduje jednak Kaczkowski, że lada „awantura polityczna" może ten cały gmach jego planów przewrócić „stanowcze jednak powodzenie w spekulacyach — dodaje w dalszym ciągu tego listu — może mnie postawić w położenie kupienia takiego majątku, li tylko, aby go mieć i choćby nawet mało co przynosił". Zapowiada też, że w danym razie, powróciwszy do Wiednia, będzie prosił Smarzewskiego o dalsze informacye co do Dubiecka.

Piękne te plany obaliła jednak nie „awantura polityczna", lecz finansowe przesilenie, które wybuchło po powszechnej wystawie wiedeńskiej, zamkniętej w r. 1873 olbrzymim deficytem. Wydatki tej wystawy wyniosły 19,700.000 złr. Niepokryty niedobór wzrósł do kwoty 4 milionów. Przekroczenia preliminarza okazały się również znaczne. I tak n. p. preliminowano dla zarządu kasowego 8000 złr., a wydano rzeczywiście 70.000 złr. Koszta policyi, preliminowane na 60—70.000 złr., wyniosły istotnie 300.000 złr. [1])

W krachu giełdowym, który się następnie do niezwykłych rozmiarów rozszerzył, stracił Kaczkowski bardzo znaczną część swoich kapitałów. Z niezmordowaną energią wziął się on natychmiast do powetowania strat poniesionych, może zaś nawet dla ułatwienia sobie tego ciężkiego zadania, — zamarzył znowu o zajęciu pewnego stanowiska na polu parlamentarnem, o zdobyciu mandatu sejmowego z Galicyi i dostaniu się do Rady Państwa. I tym razem marzenia zawiodły. A zawód doznany musiał być bardzo bolesny, gdyż odbił się jawnie — już nie tylko w korespondencyach prywatnych — w dalszem życiu i działaniu Kaczkowskiego.

Dnia 5 września 1873 r. pisze z Wiednia w tej sprawie do Seweryna Smarzewskiego: [2])

---

[1]) „Gazeta Lwowska" z d. 28 listopada 1873, Nr. 274.

[2]) Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

„Jeszcze przed kilkunastu dniami zgłosiłem się o kartę legitymacyjną (wyborczą) we Lwowie i w Wiedniu — i właśnie przedwczoraj otrzymałem wiadomość ze Lwowa i ztąd, że mi karty nie dadzą. We Lwowie powiadają, że mam tam wprawdzie posiadłość(?) i płacę podatek, lecz tam nie mieszkam, — tutaj zaś mówią, że nie postarałem się o przynależność do gminy.“

Pomimo tej odmowy Kaczkowski nie zaniechał starań i czynił bezpośrednie zabiegi ponowne w Ministerstwie spraw wewnętrznych, gdzie mu wreszcie powiedziano: „My w to wierzymy, że Pan jesteś lojalny i byłbyś nawet o wiele roztropniejszy od innych swoich rodaków, ale ponieważ zdaje nam się być rzeczą pewną, iż nie po to chcesz wejść do Reichsratu, abyś z innymi wotował, tylko zechcesz gdzieś „breszę“ wybić, ażeby przez nią na wierzch wypłynąć, więc nie widzimy żadnej potrzeby usuwać tę przeszkodę, która Panu przypadkiem stanęła na drodze.“

Kaczkowski jednak, w liście do pani Jadwigi Liskowej z dnia 12 grudnia 1890 r., przedstawia tę sprawę znowu inaczej i pisze: „W r. 1873 minister Lasser ofiarował mi krzesło w Reichsracie bądź z Galicyi, bądź nawet z innej prowincyi, mianowicie z wielkiej własności w Czechach, ale mi postawił pewne warunki; przyjąwszy te warunki, można było łatwo się przesiąść na krzesło ministeryalne, alem ich nie przyjął.“ — W powyżej jednak przytoczonym, współczesnym (z r. 1873) liście do Smarzewskiego, dodaje Kaczkowski: „Nakoniec z rozmowy z innym ministrem dowiedziałem się, iż w sferach rządowych mają wieść — między nami mówiąc, nie zupełnie z powietrza schwyconą, — iż ja mam wypracowane i przygotowane formalne i dokumentami zaopatrzone akty oskarżenia przeciwko ministrowi skarbu, handlu i rolnictwa, i że mam zamiar z temi oskarżeniami wystąpić, ażeby wspomnianych ministrów po kolei powywracać. ...Nad ich przewróceniem nawet nie bardzo się potrzeba natężać, bo De Pretis i tak nie ma już ziemi pod sobą — a Banhansowi półgodzinną mową dowiodę, że nawet abecadła nie zna tego fachu, którego się podjął... Z rolnictwem rzecz ma się jeszcze daleko gorzej, bo tam niema ani jednego człowieka, któryby rozpoznał pszenicę od żyta. Za ośm dni można mieć na drogach, dobrze mi znanych, wszystkie akta, potrzebne do takiej interpelacyi.“

Uśmiechała się snadź bardzo Kaczkowskiemu ta perspektywa walki z ministrami, a raczej, jak mu w ministerstwie powiedziano, wybijania „breszy“, ażeby przez nią samemu na wierzch wypłynąć, gdyż nie chcąc, jak powiada, dla słusznych powodów, korzystać

z wpływu ministerstwa spraw zagranicznych, „gdzie ma rzeczywista podstawę“, wpadł na myśl zdobycia karty wyborczej przez „dostanie obywatelstwa honorowego“ któregokolwiek miasta, czy miasteczka galicyjskiego. „Zaszczyt ten — pisze — ofiarowano mi w r. 1871 z Nowego i Starego Sącza, z Jasła, Sanoka i innych pomniejszych miasteczek tej okolicy; lecz wyprosiłem się od tego natenczas, bo był to koncept szlachecki. który na jakichś imieninach wystrzelił i nie miał właściwie żadnego powodu. Lecz teraz mogłoby mi się to przydać.“ Wprawdzie od tego czasu stosunki bardzo się tam zmieniły... „ale może jeszcze choć jedno miasteczko się znajdzie, w którem sztuka się uda“.

Nie udała się jednak. Nie udało się nawet i to, co w dalszym ciągu tego listu proponował Kaczkowski:

„Za sześć do ośmiu dni — pisał — będę miał wiadomość. czy obywatelstwo (honorowe) otrzymam. Przez ten czas niema nic do czynienia. Lecz jeżeli obywatelstwo otrzymam, natenczas Ci natychmiast zatelegrafuję i będę Cię prosił o pomoc. O Rzeszowie i Jarosławiu zapewne wtedy trudno już będzie myśleć, bo za ośm dni ci, którzy mieli odwagę krzyknąć: Nie pozwalam, już dawno uciekną za Pragę. Ale jeżeli i wówczas jeszcze nie będzie innego kandydata prócz żydów (bo Zbyszewskiego i Bartoszewskiego nie liczę), to zawsze będzie można próbować. Przecież, u kata, jeszcze choć z żydem poborykać się mogę... Lecz gdyby tam była sprawa popsuta, to możebyście mieli jaki inny okręg wyborczy n. p. chłopski, gdzieby można wybór przeprowadzić pieniędzmi, a wtedy i tobym przyjął — i wtedy już pewnie potknąłbym się w Reichsracie na tych trzech ministrach.“

List ten kończy się wprawdzie ustępem, dość lekceważącym sprawę tego wyboru. „Jeżeli — pisze — rzecz się nie uda, to i tak będzie dobrze, jak było dotąd, a nawet może i lepiej, jeżelibym nie mógł być wybranym, bo kwestya jest wielka, czy zdrowie moje wytrzymałoby taką kampanię, w której na każdy wypadek ślepymi nabojami strzelać nie będą, a której ja zwłaszcza nie mógłbym odprawić w ostatnich szeregach.“

Że go niepowodzenie w tej sprawie mocno obeszło, że winę tego niepowodzenia przypisał w głównej mierze stronnictwu krakowskiemu i odtąd wydał śmiertelną walkę znienawidzonym przez siebie „Stańczykom“, to w dalszym ciągu zobaczymy. To pewna, że od tej chwili zaczął gromadzić materyały i przygotowywać pamflet polityczny, który miał się ukazać w kilkanaście lat później p. t. „Teka Nieczui“.

W sprawie swej kandydatury znosił się również z Agatonem Gillerem, a w tonie jednego z listów do Gillera, pisanego w Wiedniu d. 14 grudnia 1873 r., nie trudno wyczuć silne rozdrażnienie. „Gdybyś mi Pan — czytamy w tym liście — był napisał, że Dobrzański jest przeciw memu wyborowi, nie byłoby mnie to ani zdziwiło, ani zmartwiło, bo nigdy o przyjaźń Dobrzańskiego się nie starałem, a wiem również od dawna, że jeszcze w żadnej sprawie publicznej nigdy o dobro ogólne, tylko zawsze o jego własne interesa chodziło. W kilka dni zresztą, po napisaniu mego drugiego listu do Pana, już odstąpiłem był od zamiaru kandydowania, — a to po prostu z tego powodu, że P. Lasser i P. Gołuchowski odmówili mi karty wyborczej. Dziś kontent jestem z tego, żem do delegacyi galicyjskiej nie wszedł, bo jakkolwiek w obec nieuctwa finansowego Reichsratu łatwo mi było wdzięczną odegrać rolę, jednak, jak widzę, byłbym był musiał zaraz w pierwszych dniach z klubu polskiego wystąpić. Albowiem ani kłamstwa reprezentować, ani błazna udawać nie potrafię... Zresztą ja podobno najlepiej zrobię, jeżeli nie będę się mieszać w sprawy galicyjskie. Ja nigdy Galicyi nie rozumiałem i Galicya mnie nigdy nie rozumiała...“

W dalszym ciągu pisze o Galicyi już nie tylko ujemnie, lecz w tak gwałtowny sposób, że nie wszystkie wyrażenia powtórzyć się dadzą.

„Opinia publiczna — powiada między innemi — zgałganiała, to jest *lues universalis*. Ja o Galicyi zwątpiłem i takiego samego zdania jest Warszawa, gdzie nawet o Galicyi wspominać nie można, — jak w rodzinie o córce, która się skompromitowała (w tékscie wyrażenia znacznie drastyczniejsze, trywialne) z kozakiem i z nim po karczmach się wala.“

Radzi też Gillerowi, by nie myślał o wydawnictwie dziennika politycznego, „bo — pisze — oskarżą Cię, żeś pokradł łyżki srebrne, lub że jesteś szpiegiem“. Dodaje w końcu, że „do dobrego dziennika literackiego mógłby się przyczynić“. „Ja teraz już od dłuższego czasu nic nie pisuję po polsku; Galicyanie oduczyli mnie tego rzemiosła, — ale mam z dawnych czasów rzeczy niedrukowane.“ [1])

Opozycya przeciw wyborowi Kaczkowskiego do sejmu nie wychodziła jednak bynajmniej wyłącznie ze sfer konserwatywnych; stronnictwo demokratyczne było mu stale przeciwne. Świadczy o tem między innymi fakt następujący:

[1]) Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.

Pomimo doznanych dwukrotnych niepowodzeń, Kaczkowski nie przestawał myśleć o dostaniu się na arenę parlamentarną. Chciał próbować ponownie jeszcze w r. 1889, jak na to zdaje się wskazywać list inżyniera Seweryna Tyca — może tego samego, którego K. Estreicher wymienił (zwąc Titzem, drenarzem), w gronie współpracowników „Głosu". — Owóż ów Tyc pisał z Paryża 30 września 1889 r. do przyjaciela swego Tadeusza Romanowicza:

„W Paryżu spotkałem się z towarzyszem lat młodzieńczych, kolegą więziennym, Zygmuntem Kaczkowskim. Pomimo, że ten człowiek rozporządza milionami i dla Francuzów jest niejako wyrocznią w interesach większych rozmiarów, nie zmienił się zupełnie co do moralnej łączności z tymi, którzy z nim dzielili chwile, spędzone na ławach szkolnych i życia zakratowego... Od 14 bm. jestem jego codziennym gościem i długie godziny schodzą nam na rozmowach, których przedmiotem jest kraj rodzinny. Pociągałem go do odpowiedzialności za przeszłość i miałem tę przyjemność, że pewnie się z niej wytłumaczył... Nie sprzeniewierzył się sprawie, chociaż nie dzielił przekonania swych zaciętych przeciwników. Stoi zawsze na gruncie czysto polskim — historycznym... On majątku nie potrzebuje, przeto nie będzie uganiał za synekurami, a może oddać wielkie usługi naszemu (demokratycznemu) stronnictwu. Celem niniejszego jest, aby zwrócić Twoją uwagę na zapomnianego, który ma to za sobą, że się nigdy nie pchał i nie nastawiał. Czy byś go nie mógł wepchać (sic!) do Rady Państwa. Tam z dowodami w ręku skutecznie by zaatakował tych wichrzycieli, którzy nie uważają na środki, byle dopiąć celu. Przy najbliższym wakansie do Rady Państwa postaw jego kandydaturę z sanockiego, przemyskiego, rzeszowskiego, lub tarnowskiego, a jestem pewny, że jeżeli go wybiorą, zyskasz sojusznika, z którym Twoi i jego wrogowie nierówną podejmą walkę. Piszę bez jego wiedzy, bo jestem pewny, żeby mi nie pozwolił, — ale ze skarg jego na bezczynność w sprawie, jestem przekonany, że przyjąłby wybór i swe fundusze do kraju sprowadził, by oddać usługę przed zgonem krajowi, którego kochać nie przestał. Napisz mi kilka słów, co myślisz o tej propozycyi" [1]).

P. Tyc, który się podpisał serdecznym i politycznym przyjacielem Romanowicza, nie doczekał się jednak na swój list odpowiedzi. Romanowicz na wierzchu listu napisał czerwonym ołówkiem „Bez odpowiedzi".

---

[1]) List, udzielony mi łaskawie przez p. Stan. Wasylewskiego. Ms.

To już samo świadczy, jak sfery demokratyczne były dla Kaczkowskiego usposobione. On jednak dziwnej pod tym względem ulegał iluzyi. Surowo potępiający zachowanie się Hotelu Lambert względem siebie, po swym przybyciu do Paryża w lutym 1864 r., skłonny do przypuszczenia, że to ze sfer konserwatywnych czy arystokratycznych wpłynęły niekorzystne o nim do Hotelu relacye, zaznaczający w jednym z ówczesnych listów swoich do Smarzewskiego, że „jeżeli go dojdzie wiadomość o czyjemś powątpiewaniu o nim, to prędzej o kimś należącym do arystokracyi, niżeli do demokracyi“, — niejednokrotnie okazywał gotowość szukania kompromisu przez Gillera, nawet z takim wrogiem swoim, jak Jan Dobrzański, przez owego inżyniera Tyca z Romanowiczem, przez „Reformę“, której udzielał politycznych informacyj jeszcze w r. 1888, z całym obozem demokratycznym. Natomiast nieprzejednanych swych wrogów widział w sferach konserwatywnych i arystokratycznych i wzajemną im odpłacał nienawiścią. To też po tem długiem milczeniu, jeżeli uchwycił polskie pióro do ręki, to po to tylko, aby napisać tchnący na wskróś tą nienawiścią pamflet polityczny p. t. „Teka Nieczui“, która ukazała się dopiero w r. 1883, lecz o której już tutaj, w związku z niefortunną sprawą kandydatury poselskiej mówić musimy.

Adam Krechowiecki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Karol Baliński.

(Studyum biograficzno-literackie.)

(Ciąg dalszy.)

W r. 1845 wydał Baliński oddzielnie „Kilka prac literackich“, drobniutki zbiorek, który zawiera tylko pięć utworów, znanych nam już z poprzedniego rozbioru; w liczbie ich mamy: „Farys-Wieszcz“, „Prośba o krzyżyk“, „Prawdziwa piękność“, „Kwiat paproć“ i „Do przyjaciela“; są to, jak widzimy, utwory ze „Snopka Nadwiślańskiego“ i innych czasopism.

W tym samym roku wydał Kazimierz Wójcicki „Album Warszawskie“, w którem Baliński pomieścił drobny swój wiersz, wyjęty z „Kilku prac literackich“ p. t. „Prośba o krzyżyk“. W nim zwraca się poeta do Konstancyi Balińskiej, swej bratowej, z prośbą o krzyżyk, który w chwilach zwątpienia będzie jedyną dlań ostoją i uchroni go od rozpaczy, w którą popada na myśl, że swej Matki-Ojczyzny, od tak dawna w grobie leżącej, może już wolnej nie zobaczy:

„Kiedy w prawdziwej serca żałobie
O drogiej Matce dumam i płaczę —
O Matce, dawno złożonej w grobie!...
I bluźnię, wątpiąc, czy ją zobaczę...
Ach! od rozpaczy niech mnie ochrania
Krzyż! znak zbawienia i zmartwychwstania!“

Wiersz ten powstał pod wpływem przykrych następstw, jakie sprowadziło wykrycie związku ks. Ściegiennego i — jak sam Baliński mówi — „jest wiernem odbiciem zawiedzionych jego nadziei“.

Znów bolesny zawód spotkał poetę. Związek ks. Ściegiennego i inne poprzednio patryotyczne, to ogniwa z tego łańcucha związków mniejszych lub większych, jaki łączył gorące umysły we wszystkich trzech zaborach. Nieudała wyprawa Zaliwskiego, Zawiszy i innych, oraz zapoczątkowane powstanie ks. Ściegiennego, to skutki tajnych organizacyj, które nieprzerwanie pracowały nad przygotowaniem zbrojnego powstania. Praca ta atoli, na której kierunek wywierało silny wpływ Towarzystwo Demokratyczne w Paryżu; mimo energii i starań patryotów, postępowała powolnem tempem, gdyż społeczeństwo, zrażone niepowodzeniami w przeszłości, zaczeło obojętnieć, praca ta zaś odbywała się w warunkach nader nieprzyjaznych, rządy bowiem rozciągnęły we wszystkich prowincyach polskich jak najściślejszą przezorność i tropiły zręcznie za wszelkimi przejawami spisków. Praca więc ta wydała stosunkowo małe jeszcze owoce, bo potrzeba było jeszcze dłuższej przygotowawczej roboty nad uświadomieniem szerokich sfer ludowych pod względem narodowym, tymczasem Towarzystwo Demokratyczne, względnie jego centralizacya sądziła, że grunt już do powstania odpowiednio przygotowany, że więc należy oznaczyć jego wybuch. Określiła wreszcie wybuch powstania na dzień 21 lutego 1846 r., a dla przygotowania organizacyi powstańczej wyznaczyła generała Mierosławskiego, którego mianowała zarazem naczelnym wodzem powstania; wyznaczyła także wodzów dla powstań prowincyonalnych. Kierownictwo powstania miało spocząć w rękach Rządu Narodowego, złożonego z przedstawicieli wszystkich trzech zaborów.

W trakcie przygotowań do wybuchu w ostatnich dniach zbliżającego się terminu, władze pruskie aresztowały Mierosławskiego, jego pomocników i członków przyszłego Rządu Narodowego. Wobec takich okoliczności postanowiono odroczyć termin wybuchu powstania. Uchwała jednak, ogłaszająca odroczenie, nie doszła na czas do miejsc odleglejszych, w których miano rozpocząć powstania prowincyonalne; nieporozumienie to sprowadziło niebawem nader smutne następstwa. W Krakowie wybuchło powstanie dnia 20 lutego, głównie za sprawą Edwarda Dembowskiego, zapalonego i skrajnego rewolucyonisty, który na czele garstki powstańców stoczył walkę z załogą austryacką. Dowódca załogi, generał Collin, zająwszy place i gmachy publiczne, stał się panem położenia, lecz, dzięki

rozpuszczeniu fałszywej wieści o powstaniu chłopów w powiecie chrzanowskim i ich zbliżaniu się do Krakowa, ustąpił z załogą do Podgórza. Wówczas emisaryusze Towarzystwa Demokratycznego zawiązali prowizoryczny Rząd Narodowy, który ogłosił niepodległość Polski i taki porządek społeczny, w którym ma panować bezwzględna równość i mają być zniesione wszystkie tytuły i godności. Wywołało to niepokój w społeczeństwie szlacheckiem i zaraz na wstępie usposobiło je nieprzychylnie. W parę dni potem nadeszła złowroga wieść do Krakowa o poruszeniu się mas chłopskich przeciw panom i szlachcie. Ciemne te masy dokonały smutnej pamięci rzezi, która w dziejach dotąd niesplamionych ludu pozostanie na zawsze krwawą kartą, lubo wina i odpowiedzialność w obec historyi spada nie na lud, lecz na ówczesną biurokracyę. Nałożono bowiem na szlachtę prawo rozkładania podatku rustykalnego, szarwarku, pobieranie rekruta, wyznaczania policyi wiejskiej, te zaś ciężary odczuwał lud jak najdotkliwiej, a przypisując winę w tym względzie szlachcie, żywił do niej tajoną nienawiść.

Nadto biurokracya zasiewała ziarna niezgody i zawiści pomiędzy dworem a chatą: biurokracya bowiem, pozwalając chłopom popełniać bezkarnie różne nadużycia w dobrach szlachty, w razie sporów pomiędzy dworem a wsią brała chłopów w obronę i w ten sposób w przekonaniu ich stawała się ich opiekunem, a temsamem utwierdzała chłopów w zawiści i niezgodzie z dworami. Biurokracya, uważając szlachtę za czynnik buntowniczy, myślący ciągle o powstaniu, zamierzała przeciwstawić jej lud, którego nieświadomość i pewną ufność, dzięki faworyzowaniu w sporach ze szlachtą, potrafiła wyzyskać dla swych celów właśnie w roku 1846. Drogą rozsiewania fałszywych pogłosek, jakoby szlachta dążyła do przywrócenia dawnej niewoli chłopów z czasów Rzeczypospolitej — zdołała wzniecić taką nienawiść przeciw szlachcie, iż chłopstwo poruszyło się przeciw niej w kilku naraz miejscach; inicyatorami zaś tych rozruchów ludowych były wyrzutki społeczeństwa, zbrodniarze i najrozmaitszych kategoryj kryminaliści.

Te okoliczności mogą tylko obudzić współczucie dla ludu, który nieświadomy, prosty i ciemny dał się porwać niecnym podszeptom i zabiegom biurokracyi, która za głowę każdego płaciła mu jeszcze wynagrodzenie.

Na wieść o rzezi, członek Rządu Narodowego, Tyssowski, postanowił pośpieszyć szlachcie na ratunek. Tymczasem w drodze, pod Gdowem nad Rabą, spotkał się ze znacznym oddziałem wojska,

połaczonym z uzbrojonem chłopstwem i w bitwie z nim stoczonej doznał niepowodzenia. Chłopstwo zbliżało się do Krakowa. Wówczas Edward Dembowski, chcąc ratować Kraków przed rzezią, wyruszył z krzyżem na czele procesyi naprzeciw ciągnącym z wojskiem masom chłopskim: wojsko dało ognia, Dembowski poległ, a wśród uczestników procesyi sprawiono rzeź.

Podobne poruszenia chłopstwa powstały i w Galicyi wschodniej i zakończyły się krwawo dla szlachty.

Wybuchy powstańcze szlachty pojawiły się także w Królestwie Polskiem i w Księstwie Poznańskiem, lecz zostały stłumione zaraz z całą surowością. Zapełniały się kazamaty więźniami; główniejszych sprawców powstania skazano na śmierć. We Lwowie zginęli na szubienicy organizatorowie powstania w powiecie brzeżańskim: Teofil Wiśniowski i Józef Kapuściński, który zabił burmistrza miasta Pilzna za podmawianie chłopstwa do rzezi szlachty. W Poznańskiem skazano 250 patryotów polskich na ścięcie i długoletnie ciężkie więzienie. Władze rossyjskie torturowały, jak zwykle, patryotów, wysyłały na Sybir do robót nerczyńskich lub wieszały. Warszawa wyglądała w r. 1846, jak duże obozowisko. Po placach i ulicach stały armaty. Nocą błyszczały ognie żołdaków, którzy oczekiwali tylko rozkazu do mordów i rabunków. Warszawa gwarna i huczna przedstawiała teraz smutny i jakby obumarły obraz: wieczorami nie widziałeś rojnych gromad publiczności, snujących się zwykle po ulicach, rzadko tylko spotkać można było pojedyńczych przechodniów; natomiast widać było eskortowanych co chwila więźniów, wśród których byli starcy, księża, a nawet i kobiety. Na stokach Cytadeli wzniesiono w marcu tego roku szubienicę i powieszono: Kociszewskiego i Żdżarskiego, w Siedlcach zaś Pantaleona Potockiego. Zgon ich odbił się żywem cierpieniem w sercach narodu, na twarzach wszystkich malował się ból niewypowiedziany, a w źrenicach widziałeś łzy żalu i współczucia.[1]) Rozumie się, że w liczbie więzionych przez rząd carski nie mogło brakować naszego Balińskiego, który, gdy chodziło o sprawy narodowe, musiał być zawsze czynnym.

Tak i w r. 1846, który obudził nowe nadzieje. Przeważało przekonanie, że stosowna do powstania pora nadeszła, że związki, po całem obszarze Polski rozgałęzione, przygotowały już grunt do tego stopnia, aby powstanie miało widoki powodzenia. Tą nadzieją

---

[1]) Grabieński „Dzieje narodu polskiego“. — Maurycy Mann: „Wincenty Pol“.

i wiarą w zwycięstwo walki oraz siłą przekonania, że to pora do wybuchu odpowiednia, tchnie pełen polotu utwór Balińskiego p. t. „Nasza pieśń“, napisany na kilka dni przed wybuchem powstania. Oto słowa wstępne „Naszej pieśni“:

Kto ma uszy ku słuchaniu,
Niechże słucha i rozumie!
Kto ma ręce ku działaniu,
Niechże teraz działać umie!
Bo wam mówię głosem Boga:
Czas na wroga! Czas na wroga!
Czas rozpocząć bój piekielny,
Nam weselny, im śmiertelny!
Taką moja pieśń dzisiejsza
Z najświetniejszych najświetniejsza!

Dalej poeta powiada, że na powstanie tej pieśni złożyły się wszystkie jego dotychczasowe cierpienia więzienne i sybirskie, że skutkiem tylu mąk daremnych wyolbrzymiała pierś jego, by wydać pieśń, któraby, jak nitka galwaniczna, połączyła w jednej chwili „serc tysiące, serc miliony“ i zapaliła pożarem walki o wolność; wysyła więc tę pieśń, aby spełniła swą misyę:

Leć-że teraz święta pieśni!
W serca braci lawą wbież!
Z samolubstwa oczyść pleśni,
A miłości pożar szerz!
Rozdmij w płomień, co przygasło.
Wszystkie serca w jednią zwiąż!
By na jedno słowo, hasło
Naród wstał, jak jeden mąż!

W końcu poeta żywi nadzieję, że pieśń zwycięską jego narodu usłyszą inne narody i odpowiedzą jej zgodnym tonem zwycięstwa, echem wolności:

Cała ludzkość ją usłyszy
I odwtórzy nam z pośpiechem,
I z wami się stowarzyszy
Jednym tonem — jednym echem!

W pieśni tej nie przewidział jednak poeta smutnych skutków poronionego powstania; nader bolesna rzeczywistość stanęła niebawem w kolizyi z tą niezachwianą wiarą w powodzenie, jaka

przebija się w treści całego utworu. „Przepowiednia była zawczesną — pisze Baliński, — jednakże spełnić się ona musi co do słowa.“ On, który ukochał Boga i Polskę nadewszystsko, nie zwątpił nigdy w przyszłość Polski. nawet po fakcie klęski, jakiej był świadkiem, w Polskę wierzył, jak wierzył w Boga, bo ta wiara była jedyną ostoją jego tułaczego żywota: przecie ta wiara ożywiała i dotąd ożywia wszystkie gorące serca, przepełnione miłością Ojczyzny.

W Cytadeli warszawskiej na ścianach swej celi napisał Baliński parę utworów: „Więzień do zbirów“, „Żywy trup“, „Cześć szaleńcom“ i „To nie miłość“. — W wierszu „Cześć szaleńcom“, który jest dowolną przeróbką z Berangera, porusza poeta myśl, że tak zwani szaleńcy, goniący wiecznie za ideałem własnych marzeń, którzy zazwyczaj miast uznania spotykają się z szyderstwem świata, wydobywają właściwie ten świat z łona ciemności i zapalają mu pochodnię przed oczyma:

Nowy świat z ciemności łona.
Kto? szaleniec wydobywa!
Szaleniec na krzyżu kona!
Dziś świat Bogiem go nazywa!
Gdyby jutro słońca szlaki
Wiecznej nocy skryła szata,
Jeszczeby szaleniec jaki
Znalazł pochodnię dla świata!

Pod względem formy zdaje się poeta naśladować „Psalmy Przyszłości“ Krasińskiego. Z wierszy, powstałych w więzieniu, „Żywy trup“ pomieścił „Dzwon Literacki“ w tomie IV., r. 1846, wydawany przez Augusta Wilkońskiego, prezesa towarzystwa „Cyganów“. Wilkoński, zakładając to pismo zbiorowe, zobowiązał Cyganów, by każdy z nich pomieszczał stale w niem swoje utwory. Najlepiej wywiązali się z zadania: B. Dziekoński, Włodzimierz Wolski, nasz Baliński i Jan Majorkiewicz, któremu poeta podczas pobytu w Cytadeli, dziękując za przesłane dzieło „Historya literatury“, dedykował ów wiersz „Żywy trup“. W tomie IV. „Dzwonu“ z r. 1846 spotykamy nadto dwa inne wiersze: „Piosnka rolnika“ i „Do braci lekarzy“. W tym ostatnim przemawia poeta do lekarzy, by lecząc ludzi, badali najpierw, czy dusza zdrowa, a nie uwzględniali jedynie cierpień fizycznych, by czarem przyjaźni i miłości, który ożywia szczytne pienia naszych wieszczów — starali się leczyć tę straszną chorobę zwaną zwątpieniem i aby wskazywali chorym wyższy cel życia: przez krzyż — drogę zbawienia.

Jeśli na drodze życia napotkacie
Chorobę straszną, nazwaną zwątpieniem,
Nie rozpaczajcie o cierpiącym bracie,
Och! nie rzucajcie na niego kamieniem!
Spróbujcie wprzódy, czy w tem zimnem łonie
Skryta miłości iskra nie rozpłonie!

Bijcie w to serce, jak w łono krzemienia,
Czarem wszechmocnym przyjaźni, miłości,
Nućcie mu szczytne wieszczów naszych pienia,
Mówcie o ojców cnotach i wielkości,
Wskażcie mu drogę, co do nieba zbliża:
Drogę zbawienia, Golgoty i krzyża!

Jeśli zaś stwierdzą, że w wątpiącem i zatwardziałem sercu nie odezwie się już głos sumienia, że to serce stracone dla Boga i dla Ojczyzny, to powinni porzucić takiego człowieka, bo to „szkielet ducha“, potwór:

Rzućcie ten potwór! mijajcie z daleka!
Och! bo to tylko parodya człowieka!

W tomie I. „Dzwonu“ z r. 1846 mamy wiersz Balińskiego p. t. „Spowiedź przed Aniołem-Stróżem“; w nim wyraża poeta żal i skruchę z powodu bluźnierstwa, jakie czasem w chwilach zwątpienia pod nadmiarem boleści osobistych rzucał niebu: dziękuje Aniołowi, iż go podniósł z toni zwątpień, dał mu poznać „samolubstwa małość“, a życie jego skierował na inną drogę, na pole zasługi, na którem sercem objął ludzkość, w której milionowych bolach znikły jego bole:

Dzisiaj — już skarga ust moich nie plami,
Jeżeli płaczę — to już nie nad sobą,
Jeżeli płaczę — to Chrystusa łzami!
Jam już nie człowiek, jam już nie osobą!
    Jam dzisiaj tylko uczuciem! — miłością,
    Uczuciem wielkiem — cierpienia wielkością!

Ogromem czucia — do nieba się wznoszę,
Ogromem bolu — do ziemi przykuty,
Boleścią braci — skróś serca przekłuty,
W mękach — niebiańskie przeczuwam rozkosze.
    Przez Ciebie — wielki, przez Ciebie — wzniesiony,
    Umiem dziś kochać i czuć za miliony!

Widzimy tu podobną przemianę poety, jak Gustawa w Konrada w „Dziadach“: poeta zapomina o własnych cierpieniach, a przejmuje się cierpieniami narodu i całej ludzkości — cierpi za miliony.

Baliński odsiadywał więzienie równocześnie z Narcyzą Żmichowską (Gabryelą), A. Jesieńczykiem (Jabłońskim, autorem pamiętników p. t. „Dziesięć lat niewoli moskiewskiej“, będących wiernem odmalowaniem martyrologii polskiej), z Teresą z Karskich Kossowską. Tej ostatniej poświęcił ładny wiersz „Kwiat tajemniczy“, drukowany w „Tygodniku Polskim“ z sierpnia 1848 r., założonym w miejsce wychodzącego dawniej „Dziennika Mód Paryskich“, który w swoim czasie, mimo dziwacznego swego tytułu, był jednem z najlepszych pism literackich w Galicyi. O innych utworach Balińskiego, drukowanych w tym „Tygodniku“, pomówimy nieco później na stosownem miejscu.

Baliński, dostawszy się do więzienia Cytadeli w roku 1846, przesiedział w niem przez szereg miesięcy, aż do kwietnia 1847 r. To trzecie z rzędu więzienie, poprzedni pobyt na Syberyi, gdzie wieczna tęsknota za krajem i za ukochaną rozdzierała mu serce, po powrocie zaś boleść z przyczyny niewierności narzeczonej, a nadewszystko zawody ideowe, ten straszny w skutkach upadek porywów i nadziei, te wszystkie cierpienia — nabawiły naszego poetę choroby serca. Z powodu tej niebezpiecznej choroby komisya lekarska nie wróżyła mu już długiego życia; przed śmiercią niejako postanowiono wypuścić Balińskiego na wolność.

Po opuszczeniu więzienia udał się Baliński do rodziny do Jarosławca, która przyjęła go z nieopisaną radością, tembardziej, że niedawno, bo przed paru miesiącami, spotkał ją dotkliwy cios przez śmierć najstarszego brata, Antoniego; tu, pod tchnieniem ożywczej wiosny, otoczony miłością serc braterskich, powrócił niebawem do zdrowia. Tak więc dzięki chorobie serca, która komisyę lekarską tak w błąd wprowadziła, że oznaczyła mu już godzinę śmierci, ocalał nasz poeta. Radość jednak z powodu uwolnienia mąciła mu myśl, że z towarzyszów niedoli on sam ocalał, że tylko on sam uniknął może śmierci, a oni pójdą na Sybir lub na szubienicę: zacna dusza Karola znów bolała nad losem współbraci, z którymi dzielił wszystkie nadzieje i dolę więzienną.

Mimo słabości i wycieńczenia nie ustawał i teraz w pracy literackiej. W czasie pobytu w Jarosławcu od kwietnia 1847 r. do marca 1848 r. napisał kilka utworów oryginalnych, tłumaczył i przerabiał niektóre utwory Berangera, jak: „Emil Debraux“.

„Samobójstwo“. Z wierszy oryginalnych z tego czasu znamy: „Jesień“, wspomniany już „Kwiat tajemniczy“, „Chwila z czasów Łokietkowych“. „Kilka obrazków z życia Polski i Niemiec“ i „Do Narcyzy“. — W wierszu „Jesień“ porównywa poeta swe serce do smutnego i ponurego obrazu jesieni: podobnie jak jesień po pięknem, strojnem lecie z cudownej szaty — tak i jego serce „z najświętszych uniesień“ posiada teraz tylko „garść zeschłych cierni i powiędłych liści!“ Poemacik „Chwila z czasów Łokietkowych“ lub „Piastowskich“, jak go zatytułował Baliński, zamieszczając go w „Albumie literackiem“, w piśmie zbiorowem, wydawanem przez Wł. Wójcickiego, jest opisem jednej z walk Łokietka z Krzyżakami, według rysunku pewnego przyjaciela, który przed śmiercią oddał swą tekę szkiców i rysunków Balińskiemu. Jest to obrazek tej bitwy, w której brał udział Wincenty z Szamotuł, początkowo zdrajcą własnej Ojczyzny, który pod wpływem nieustannych wyrzutów i zgryzot sumienia wczas nawrócił się i przyczynił się do zwycięstwa nad Krzyżakami. Chwilę walki jego duszy z głosem sumienia tak opisuje poeta:

W namiocie, gdzie w około błyszczą godła Niemiec.
Stoi rycerz, po twarzy znać, że cudzoziemiec,
Z jego oczu, boleśnie ku niebu wzniesionych,
Z rąk załamanych, z palców, gwałtownie splecionych,
Widać, że jakaś boleść sercem jego miota,
Ha! może najstraszniejsza sumienia zgryzota!
I że jeśli to zbrodzień, to jeszcze nie wprawny,
Jeszcze nie starł doszczętnie poczciwości dawnej,
Jeszcze go hańba boli i spokój zatruwa,
I choć wszystko spoczywa, sen z oczu odsuwa:
Lecz coś tak szlachetnego patrzy z jego czoła,
Co zaręcza, że Niemcom długo być nie zdoła,
Że jeszcze byle pomoc, choć cień wsparcia blisko,
Podniósłby się wysoko, tak jak upadł nisko.

W przypiskach do tego poematu przytacza poeta wyjątek z dzieła Rogalskiego p. t. „Dzieje Krzyżaków“ [1]): „Wincenty Szamotulski, wojewoda poznański i generał Wielkopolski, pozbawiony znakomitego urzędu (rządów Wielkopolski), rozgniewawszy się na króla (Łokietka), w zdradzie zemsty szukać postanowił. Udał się więc tajemnie do Malborga, ofiarował wielkiemu mistrzowi, gotującemu się na wtargnięcie do Polski, swoje usługi, obiecał wydać

[1]) L. Rogalski: „Dzieje Krzyżaków“, t. I., str. 450—452.

zamki, które jeszcze trzymał: wesprzeć swojem wojskiem i zapewniał, że przy spiesznem działaniu z łatwością przyjdzie nietylko ubiedz wiele zamków, ale nawet schwytać samego Kazimierza Wielkiego. Łokietek zgromadził, ile tylko mógł, zbrojnego ludu, aby ratować nieszczęśliwy swój kraj, ale przemagające siły Krzyżaków niełatwo było pokonać. Przemyślając nad środkami ocalenia Ojczyzny, postanowił zakołatać do serca Szamotulskiego: wyprawił więc tajemnie powiernika, ofiarując mu przebaczenie i wzywając, aby się ulitował nad niedolą rodzinnej ziemi. Głos Ojczyzny przeniknął do duszy wojewody poznańskiego, smucił się przytem, że imię jego wieczną hańbą okryte zostanie. Zmienił więc umysł... Gdy się mgła rozpròszyła, król wydał hasło do boju: hufiec nadworny uderzył naprzód na Krzyżaków, w ślad za nim pięć innych hufców i reszta wojska polskiego. Mężnie bronili się Krzyżacy, z największą zaciętością walczono z obu stron, w tem nagle podniósł się krzyk wielki: Szamotulski uderzał na Krzyżaków z tyłu. Zmieszały się pierwsze ich szeregi, Łokietek z przodu tem silniej nacierał i walne odniósł zwycięstwo."

Poemacik „Kilka obrazków z życia Polski i Niemiec" jest dalszym zarysem poetycznym najważniejszych faktów z dziejów Polski w stosunku do Niemiec, począwszy od zwycięstwa Sobieskiego pod Wiedniem nad Turkami, aż do upadku i rozbioru Polski:

Opodal leży wieko jakiejś wielkiej trumny,
Ubrane w godła śmierci, w żałobne całuny,
Na niem jakieś postacie, widma, czy szatany,
Radują się, weselą, skoczne wiodą tany,
Gruba ciemność szalonej biesiady nie studzi...
A jeśli wieko pęknie i olbrzym się zbudzi?...

Wiersz „Do Narcyzy" zawiera dla niej pochwałę i zachwyt, pod wpływem jej powieści, pomieszczonych w „Przeglądzie naukowym":

Czyj to głos słyszę po tak długiej ciszy?
Czyj śpiew tak silny, że do mnie dolata?
Może to który z dawnych towarzyszy
Zatęsknił do mnie tam — z lepszego świata?
O! nie! Choć silny — jest to głos kobiety!
A jasny, świetny, aż serce weseli —
Pod skromną szatą tętni pieśń poety!
Taka bogata!... ach! to Gabryeli!

Ona bowiem, gdy już przycichały wieszcze pienia naszych arcymistrzów, odezwała się potężnym tonem z gorących piersi. Gabryela, Deotyma i Konopnicka, to trójca wielkich gwiazd-kobiet na horyzoncie naszej poezyi, naszej literatury.

DR. JAN MIRWIŃSKI.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".